

28.VIII.1749

## GOETHE

22.III.1832

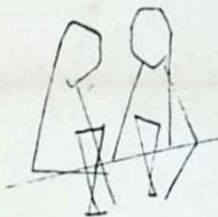
PRZEKŁADY STEFANA ZARĘBSKIEGO

### Szynkarczyk

„Wieszcz to sławny!” — zewsząd słyszę,  
Gdy po rynku krocysz w tłumie:  
Mnie nad śpiew twój przecież miłsze  
W twoją wsłuchać się zadumę.

A od twego pocałunku  
Nic już nie przyjmuję chętniej!  
Bo cóż słowa — przejdą, umkną —  
A ten w sercu trwa, pamiętny...

Rymom skąpa myśl wystarczy,  
Lepsze, co jej zadość czyni:  
Innym śpiewaj więc — szynkarczyk  
Woli, gdy pomilczysz przy nim...

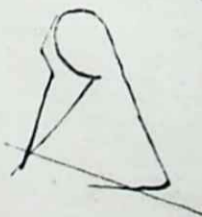


### Tęsknota

To nie ostatnia jeszcze łza,  
Co w serca splywa ranę,  
Które — to nowym bólem drga,  
To ścicha znów, znękane.

O daj, miłości, żebym czuł  
Jak darzysz mnie bez przerwy:  
I niech się wciąż przewierca ból  
Przez żyły me i nerwy!

Obym przeniknąć wreszcie mógł  
O, Wiekuisty, Tobą!  
Ach, męko długich, długich dróg  
Do nieznanego grobu...



### Narcyzy

Lilii biel; do gwiazd podobne  
Stoją w skromnym pochyleniu;  
Wewnątrz — namiętności ogień  
Rąbków żarzą się czerwienią.

To narcyzy wzdłuż alei  
Kwitną, w szpaler ustawione;  
Niechby wszyscy zrozumieli  
Kogo wyczekują one...

\* \* \*

To było jak w cudownym śnie!  
Nic zatem nie poradzę,  
Że ciągle przy Niej myślę me —  
A zwłaszcza — kiedym w sadzie.

Bo sad był świadkiem: przyszła tam  
Uczucie niosąc czyste;  
W dniu owym dotąd jeszcze trwam —  
I jej już jestem wszystek.



Głowa kobieca wg rysunku Goethego

### Do Julii

Niech ci który fizyk powie  
O zjawiskach zwierciadlanych,  
Nie potrafią ci panowie  
Dotąd wyjść z podziwu dla nich.

Luster oto stoi para,  
Tak, by słońce wskroś padało,  
W środku zaś materia szara  
Bryłą mieni się kryształu.

Tęczę barw o pysznych tonach  
Mogą ujrzyć w niej ciekawi;  
Mroczne światło z luster łona  
Oczom istne cuda jawi.

Różne widać zjawisk formy:  
Pawie oka, krzyże czarne,  
W blasku dziennym i wieczornym  
Trwają aż je cień zagarnie.

Nazwa ich zarazem znakiem,  
Blask w kryształach tkwi głęboko;  
Ach, odbicia dziwne takie  
W oku również dojrzy oko!

Po cóż więc makrokosmosu  
Widma łowić, śledzić za tym —  
Gdy nam żywe skarby niosą  
Dwa kochane, małe światy...

### Wesele

We wsi uciecha wielka. Pono  
Gody weselne obchodzono.  
Ledwie się przepchnął ku biesiadnej izbie:  
Wirują parki w tanecznej ciźbie.  
Każda dziewczyna ze swoim młodzianem —  
I tylko błyszczą oczy rozkochane.  
Spytałem w końcu — a gdzie panna młoda?  
Dziwnie popatrzył stojący opodal:  
„Może dowiecie się tam dalej!  
My tu tańczymy ku jej chwale,  
Trzy dni i noce już tańczymy oto,  
A żaden o niej nie pomyślał dotąd...”

Spójrz tylko wokół siebie szerzej —  
Wielu podobnie ci się zwierzy.

### O cierpieniach młodego Wertera

By tak kochać czy być tak kochaną —  
Każdy młodzian, każde dziewczę śni:  
O najświętsza z żądz, które nam dano,  
Czemu rodzisz tylko ból i łzy?

Kochasz, chłopcze, czcisz — biednego ducha,  
Piętno hańby rad byś z niego zdjąć —  
Lecz cóż woła on z dali, posłuchaj:  
„Nie naśladowaj mnie — mężczyzną bądź!”



### Mefistofeles mówi

I to widziałem w służbie długiej:  
Niejeden pyszni się jak paw,  
Popytaj tylko o zasługi —  
Największych o n dokonaj spraw!

Wyteżać siły brzemię każe,  
Którego musisz być tragarzem,  
Lecz choć się inny wali z nóg —  
Najcięższym mienisz własny trud!

\*

Ślad cały po wymarłych ludach  
To ledwie nikły jakiś cień:  
Znać go, lecz chwycić się nie uda,  
Choć miałbyś tropić w noc i w dzień.

Kto same cienie chwyta wciąż  
Powietrza pustkę jeno zgarnia:  
Kto cieni nagromadzi gąszcz —  
Nim się postrzeże — noc dokoła czarna.

MARIA JASIŃSKA

## Od Redakcji

Zastanawianie się nad charakterem poszczególnych, wychodzących u nas pism społeczno-kulturalnych i literackich — prowadzi z reguły do prób dokonania ich podziału na dwie grupy. Pierwsza grupa — to pisma, których „profil” wyznacza fakt istnienia wokół nich bardzo zwartego i jednolitego kolektywu, zwanącego jeden pogląd na świat i przyjmującego wynikający stąd, bardzo ściśle określony program działania. Tego typu pismem jest np. „Po prostu”. Drugą grupę stanowią pisma, które sens swego moralnego i społecznego oddziaływania widzą w udostępnieniu łamów dla różnych poglądów i opinii, wynikających z różnych postaw filozoficznych, ale związanych wspólnym umiłowaniem człowieka i wolą walki o jego coraz lepsze życie.

„Kamena” należy i będzie należeć do pism drugiego typu, zarówno ze względu na charakter kolektywu, który skupia, jak i z racji stawianych sobie założeń. Nie znaczący to oczywiście, że redakcja rezygnuje z walki o konkretne sprawy, i przyjmuje koncepcję magazynu, zestawu dowolnie wybranych materiałów. Za cel zasadniczy uważamy walkę o pewne ogólnoludzkie, jakże często zaniedbywane wartości moralne, takie jak tolerancja, godność człowieka, prawo do odwagi.

Zdajemy sobie sprawę z faktu, że termin humanizm — jest niezwykle szeroki, bardzo ogólny. Sądźmy jednak, że na tej szerokiej płaszczyźnie spotkają się u nas wszyscy ludzie, którzy mają coś do powiedzenia o najistotniejszych problemach naszej epoki i naszego kraju — i dla których człowiek stanowi najwyższą wartość.

Przyjmujemy zasadę zamieszczania na wszystkich kolumnach naszego pisma artykułów o charakterze dyskusyjnym, nieraz polemicznych w stosunku do siebie. Łącząc je będzie wspólna postawa — humanizm. Uważamy, że fakt drukowania materiałów tego typu jest zadośćuczynieniem zasadom tolerancji i wolności słowa, fundamentalnych zasad ustroju prawdziwie demokratycznego.

Nie stało się chyba źle, że również „Kamena” — niestety w myśl zasady „lepiej późno niż wcale” — postanowiła „włączyć się” w tak ożywioną i zdaje się wciąż potężniejącą dyskusję o tolerancji. Dobrze jest bowiem wiedzieć nie tylko to, co sądzi o tym znani lub nieznanii przedstawiciele może czasem nieco abstrakcyjnego „społeczeństwa”, lecz również trzeba wiedzieć, co myślimy sami.

Źle natomiast chyba się stało, że inicjujący dyskusję artykuł Anny Jakubiszyn „Siła czy słabość” zamieszczony w 4 nrze „Kamena” nie był właściwie zupełnie żadnym „włączeniem” czy „dołączeniem się” do tych licznych a nieraz bardzo istotnych głosów, które od kilku miesięcy odzywają się na łamach wielu czasopism, jak np. „Po prostu”, „Życie Literackie”, „Kierunki” i „Tygodnik Powszechny”.

Wszędzie bowiem, gdzie nie chodzi o bezinteresowną akademicką dyskusję dla dyskusji, należy liczyć się z tym, co już jest zbudowane czy przynajmniej nagromadzone.

Punktem wyjścia omawianego artykułu jest przekonanie, że ostatnie lata zdyskredytowały wśród znacznej części społeczeństwa wartość tolerancji uznanej za objaw słabości lub głupoty. Stąd nawet sama istota tolerancji i płynące z niej konsekwencje muszą być na nowo przypomniane. Jeśli tak jest istotnie — a chyba tak jest! — to może trochę za mało jest powiedzieć, że „tolerancja to uznanie prawa innych do odmienności” wypływające z poznanowania cudzej osobowości i z uznania w jednostce jej człowieczeństwa. Zwłaszcza kiedy dopowiedzianą motywacją takiej właśnie postawy ma być tylko poczucie „względności wszelkich norm i niedoskonałości, niepełności wszelkiej wiedzy”, wskutek czego tolerancja jest nie tylko wrogiem „dogmatyzmów i doktrynerstwa, ciasnoty i ograniczenia”, ale również wrogiem „wszelkich wyłącznych prawd i jedynie słusznych dróg”. Przy takim bowiem ujęciu powstają dość zasadnicze wątpliwości.

Jeśli to przyznanie każdemu prawa do odmienności i poznanowania jego osobowości ma płynąć przede wszystkim z przekonania, że wszyscy my, biedni ludzie, których wiedza jest tak niepewna, nie posiadamy żadnej bezwzględnej prawdy i nie możemy zatem posiadać żadnych jedynie słusznych i bezwzględnych norm postępowania, to zachodzi wielka obawa, że spora część ludzkości będzie musiała z góry zrezygnować z wszelkich aspiracji do tolerancji.

A konkretyzując i aktualizując: wszyscy katolicy i marksiści. Jedni bowiem i drudzy — jeśli są nimi naprawdę — mimo całego przekonania o niepełności poznania nie przyznają się chyba nigdy do nieposiadania niewzruszonej prawdy i wynikających z tego braku dalszych konsekwencji. Tolerancja zatem pozostawałaby tylko

dla sceptyków i liberalnych indyferentystów. Jasne jest oczywiście, że tak nie mogła myśleć autorka analizowanych tu twierdzeń, ale tego rodzaju wnioski wypływają z przyjętych przez nią uzasadnień.

Do uzasadnienia konieczności tolerancji wystarczyłyby wspomniane już uwagi o poszanowaniu cudzej osobowości i człowieczeństwa. Dobrze jednak może byłoby je nieco uzupełnić przez wskazanie, że postawa taka jest prostą konsekwencją uznania równości wszystkich ludzi. Równości ludzi jako ludzi czyli istot, których jednakowa, wspólna wszystkim natura każe im w ostatecznej instancji kierować się nakazami własnego rozumu. Stąd wypływa jedno z najbardziej podstawowych praw a zarazem i obowiązków człowieka: postulat wierności własnym przekonaniom.

Mówić o pełnej i prawdziwej tolerancji można zatem dopiero przy takim spojrzeniu na człowieka, kiedy widząc nawet całą niższość jego intelektu, przyznajemy mu w pełni prawo postępowania zgodnie z własnym sądem, choćby nawet obiektywnie fałszywym. Dopiero wtedy tolerancja stanie się czymś prawdziwym i owocującym: nie tylko nakazanym sobie kurczowym zaciskaniem ust czy pięści, aby mimowoli nie naruszyć osobowości tego „odmiennego”, lecz naturalną i konieczną postawą szacunku i zrozumienia, nawet przyjaźni. Zasięg takiej tolerancji musi być tak szeroki, jak daleko w kimś innym sięga dobra wola szukania prawdy i postępowania według niej. Dopiero stwierdzony, świadomy brak tej dobrej woli zakreśla granice tej tolerancji: wtedy dopiero mamy już nawet nie tylko prawo, lecz i obowiązek użycia siły — moralnej, fizycznej czy prawnej. We wszystkich innych wypadkach — gdy odrębność postępowania wpływa z odrębności poglądów, a nie dociera jednocześnie do terenów objętych przez kodeks karny — pozostaje nam tylko możliwość wpływania na cudze przekonanie, jeśli — jak słusznie zaznacza A. Jakubiszyn — jesteśmy zupełnie pewni swoich poglądów, no i posiadamy odpowiednie argumenty.

Dlatego to z całym przekonaniem podtrzymuję wysunięty przez autorkę postulat „spokojnej, poważnej, rzeczowej dyskusji” starając się — na tyle na ile nas stać — podjąć ją w niektórych tylko szczegółach bogatego w problematykę artykułu.

Artykuł zawiera również ocenę wprowadzenia religii do szkoły. Fakt ten został oceniony z dwu różnych aspektów i oceny wypadły zupełnie rozbieżnie. Ze stanowiska, które można by nazwać sprawiedliwością społeczną oraz taktyką, ocena jest całkowicie pozytywna, jak świadczy o tym użycie następujących określeń: „zadośćuczynienie wyrządzonych krzywd” i „krok w kierunku konsolidacji społeczeństwa”. Drugi aspekt oceny nazwałabym „merytorycznym”: fakt uczenia religii

w szkole oceniony został zdecydowanie negatywnie ze względu na merytoryczną ocenę religii jako światopoglądu.

Zasadnicze stanowisko nie podlega tu zupełnie dyskusji, tak jak i odwrotne stanowisko wierzącego, który ten sam fakt uzna za jak najbardziej pozytywny właśnie ze względu na przekonanie o merytorycznej słuszności swego światopoglądu. Sama natomiast argumentacja autorki budzi zasadnicze wątpliwości.

Najpierw jednak uwaga formalna: obozu przeciwnego. W dyskusji należy liczyć się lojalnie z opiniami obozu przeciwnego. Fideizm, jakkolwiek wśród katolików dość rozpowszechniony, jest jednak wyraźnie zwalczany przez oficjalne czynniki kościelne, które chcą, aby katolik wiedział, w co i dlaczego wierzy i nie uciekał od myślenia o tym w obawie, że się dokopie sprzeczności z logiką czy nauką.

„Światopogląd fideistyczny nie jest uniwersalny, istnieją bowiem różne religie, z których każda pretenduje do wyłączności”. Znowu uwaga formalna: w dyskusji nie należy posługiwać się dowolnymi, osobistymi, niejako ad hoc stworzonymi znaczeniami nazw, które są już ustalonymi terminami. Uniwersalizm (wg „Słownika wyrazów obcych” Wieczorkiewicza z 1939 r.) jest to w odniesieniu do wiedzy objęcie jej zakresem wszystkich dziedzin rzeczywistości, w filozofii przeciwstawienie indywidualizmu, podporządkowanie rzeczy szczegółowych zasadom ogólnym, a w teologii wreszcie nauka o łasce Bożej obejmującej wszystkich ludzi bez wyjątku. Światopogląd katolicki jest — dla każdego kto go zna — światopoglądem uniwersalnym we wszystkich tych znaczeniach, co musi niestety pozostać tu bez dowodu, gdyż w ramach tego artykułu nie sposób zmieścić odpowiedniego traktatu. Uniwersalizm w znaczeniu występującym w cytowanym zdaniu jest czymś zupełnie nieistotnym, bo najdoskonalej przypadkowym. Zakłada bowiem, że uniwersalny jest każdy system z pretensjami do wyłączności, póki nie zjawi się inny system o podobnych ambicjach. „Nie jest również (światopogląd fideistyczny) sprawdzalny obiektywnie — wiara należy do sfery doznań par excellence subiektywnych”. Zdanie to zupełnie „jednym tchem” wymienia dwie zasadniczo różne sprawy: przeżycie religijne i system. Przeżycie religijne, jak każde w ogóle doznanie, jest zjawiskiem subiektywnym, bo z tej prostej racji, że jest właśnie doznaniem czy przeżyciem konkretnej jednostki, innym być nie może. Czym innym jest natomiast cały światopogląd chrześcijański, zbudowany jako system, którego twierdzenia empirycznie niezaprzeczone są połączone z sobą logicznymi zależnościami, a ostateczne podstawowe zasady nie są bardziej niesprawdwalne obiektyw-

(Dokończenie na str. 7)

„Może znajdzie się jednak epik — społecznik czy psycholog, którego zainteresują żywi mieszkańcy Lublina, jak znalazł już Lwów swojego Schrödera, Makuszyńskiego, Parandowskiego; Kraków — Goetla i Wiktora; Kalisz — znakomitą Marię Dąbrowską; a Warszawa — tylu wybitnych, z Gojawiczyńską, autorką „Dziewcząt z Nowolipek”, na końcu.

Prosty człowiek Lublina czeka ciągle na swojego plewce”.

To wezwanie skierowane do literatów dochodzi już dziś z za grobu. Autorem słów, zacytowanych z pracy „Lublin w literaturze współczesnej” jest zmarły 10 lutego polonista lubelski, z-ca profesora na Uniwersytecie M. Curie-Skłodowskiej, dr Paweł Gdula.

Oddając hołd Zmarłemu odrzucmy uświęconą tradycję słowa: „nieodżałowany”, „wspaniały”, „wielki” i tym podobne epitety, które tracą moc w zestawieniu z faktami, dającymi najlepsze świadectwo prawdzie.

Do bezspornych faktów należy bardzo uczuciowy, serdeczny stosunek dr. Gduła do Lublina. Syn rzeszowskiego nauczyciela, urodzony 20.9.1891 r. w Nienadówce, po ukończeniu szkół w Rzeszowie i we Lwowie, gdzie w 1911 r. otrzymał świadectwo dojrzałości, studiował na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Lwowskiego, biorąc jednocześnie żywy udział w pracy tajnych organizacji młodzieżowych z „Życiem” na czele. Po I Wojnie Światowej, w czasie której walczył na różnych frontach, i po rocznej pracy nauczycielskiej w

Pabianicach, dr Gdula przenosi się w 1921 r. do Lublina, by tu pozostać aż do śmierci.

Przez osiemnaście lat uczy języka polskiego w gimnazjum im. Zamojskiego, rozpoczynając jednocześnie działalność naukową. Pierwszą Jego pozycją naukową jest praca „Wieś i lud w powieściach Elizy Orzeszkowej”, na podstawie której uzyskał tytuł doktora filozofii. Do 1939 r. dr Gdula ogłasza drukiem 5 artykułów z dziedziny pedagogiki i dydaktyki, poświęconych nauczaniu języka polskiego i pracy kół naukowych w szkole średniej. Osobne miejsce należy się wydanej w 1937 r. pracy „Lublin w literaturze współczesnej”. Autor daje tutaj wyraz swoim zainteresowaniom regionalnym, badając związek z Lublinem w twórczości F. Arnsztajnowej, W. Barwickiego, J. Czechowicza, J. Łobodowskiego i A. Struga. Z kart tej pracy przebiega głęboka troska o piękną literacką formę sądów, wypowiedzianych zawsze przez autora w oparciu o bogaty i starannie zebrany materiał. Lata wojny czynią wyłom w pracy naukowej dr. Gduła, nie słabnie natomiast Jego działalność pedagogiczna, za którą już

w 1939 r. został przez Niemców uwięziony w Zamku. Mimo represji, po wyjściu na wolność w 1940 r. wraca do konspiracji i aż do wyzwolenia Lublina prowadzi tajne komplety. W uznaniu dotychczasowych zasług w lipcu 1944 r. zostaje mianowany kierownikiem Wydziału Wydawniczego Resortu PKWN. Kiedy w 1945 r. Ministerstwo Oświaty przenosi się do Warszawy, dr Gdula pozostaje w Lublinie, by objąć stanowisko dyrektora Oddziału PZWS (1945—1950), a później z-cy dyrektora Ekspozytury Woj. „Domu Książki” (1950—1951). Kontynuując pracę pedagogiczną pełni funkcje wizytatora Ministerstwa Oświaty do 1946 r., a w latach 1951—1952 jest nauczycielem w Państw. Liceum dla Pracujących. Na szczególne wyróżnienie zasługuje działalność wydawnicza dr. Gduła, który w ciągu 3 lat (1944—1947) redaguje i wydaje czasopisma: „Promyk”, „Promyczek” i „Tekę Szkolną”, zamieszczając w nich około 15 własnych szkiców i artykułów literackich. Na wiadomość o zorganizowaniu sekcji polonistycznej przy UMCS, dr Gdula mimo otrzymania emerytury zgłasza się do pracy w Bibliotece Głów-

nej, gdzie od 1952 r. jako kierownik oddziału gromadzenia kompletuje księgozbiór z literatury polskiej i powszechnej oraz zaczyna zbieranie „Lublinianów”. Z 4 prac naukowych drukowanych po wojnie przed rozpoczęciem pracy na Uniwersytecie aż 3 poświęcone są twórczości A. Struga: „Z młodości Andrzeja Struga” (Zdrój, 1947 r., nr 1), przedświade do „Ludzi podziemnych” (Warszawa 1947, Sp. Wyd. „Wiedza”) oraz „Andrzeja Struga opowieści o „Ludziach podziemnych” (Łódź 1949, Sp. Wyd. „Polonista”). Dr Gdula nie tylko pierwszy po wojnie przypomniał twórczość Struga, ale także potrafił wnieść nowe wartości do wiedzy o pisarzu. Pod tym względem największą wartość ma pierwsza praca o Strugu, w której Autor prostując dotychczasowe omyłki ustalił datę oraz miejsce urodzin pisarza, odsłaniając jednocześnie nieznane karty z jego lat młodzieńczych. Z chwila objęcia w 1954 r. wykładów na UMCS, dr Gdula w dalszym ciągu prowadzi badania nad twórczością autora „Ludzi podziemnych”, czego wyrazem jest wykład monograficzny dla IV roku pt. „Strug a Dostojewski”. W tym samym czasie przygotowuje do druku najobszerniejszą swoją pracę „Drukarstwo lubelskie 1554—1954” (praca ta ukaże się w br. nakładem Annales UMCS).

Zalety charakteru i niezwykła sumienność w pracy zyskiwały dr. Gduła wielu przyjaciół. Można o Nim powiedzieć słowami Igora Newerlego, że potrafił „przeżyć jak człowiek”.

## Zapisana karta

ROMAN ROSIAK

# Strach

ANNA MARKOWA

Adam nie był człowiekiem błyskotliwym. Miał jednak swoisty rodzaj tupetu, właściwy ludziom o wąskich horyzontach, ale posiadających sprecyzowane zainteresowania i duże ambicje. Bibliofil — lubił chwalić się swoim, zresztą całkiem imponującym zbiorem. Obchodzili go sprawy terenu, na którym urodził się i mieszkał, cała ta skomplikowana geografia wpływów i urazów, nikłych na razie osiągnięć i wielkich niebezpieczeństw. Obok podziwu dla książek i źle ukrywanej ambicji kierowania ludźmi — pielęgnował troskliwe kult zgoda mieszczańskiego dobrobytu. Koniecznie z własnym domem i ciężkimi orzechowymi meblami. Niemożność osiągnięcia ideału — ucieleśnionego w takim domu — nie pozostała bez wpływu na wyraźny dla otoczenia, stale rosnący kompleks kryzysowy. Ostatecznie to on właśnie lepiej od pozostałych kolegów znał teren. Wiedział, jak należy działać, żeby nie drażnić ludzi, nie zaogniać spraw. Tymczasem stale zmieniali się naczelni i kierownicy ekipy terenowej. Na miejsce odchodzących przychodzili nowi — młodzi i bez doświadczenia. Zawsze inni — nigdy on, Adam Poremba.

Čuło się wyraźnie, jak ta ryśa pogłębia się w nim z każdym dniem. Coraz częściej przysuwał krzesło do biurka bliższych i dalszych znajomych. Powoli, mozolnie okrążając drażliwy temat, coś im wyjaśniał. Rzucił półsłówka i aluzje, z których już niedwuznacznie wynikało, że właściwie to on powinien... że oczywiście decydują kaprysy tamtych z Warszawy... że wiadomo... Nigdy jednak nie mówił o tym wprost i głośno. Myśleli początkowo, że to ta sama ambicja, która zmuszała go do ciągłego pamiętania o swojej, prawdziwej czy urojonej krzywdzie — nie pozwalała mu powiedzieć wprost Naczelnemu, co czuje, uzasadnić swoich pretensji i żądać wyjaśnień. Ale to był — strach. Tragiczne poczucie zależności nawet tego, co miał, a z czego przecież nie był zadowolony — od woli innych. Tej bliżej mu nieznannej „góry”, którą tu, u nich, reprezentował Naczelny. Strach był jeszcze nie zawsze dostrzegalny, podskórny. Čmiący jak ból zęba. Rozłożony na miesiące i lata. Ale był. I chyba dlatego tamto musiało nastąpić.

Cała historia zaczęła się bardzo banalnie. Właściwie tak zostało do końca. Pewnego wieczoru przyjechał Dariusz. Znowu stracił pracę. Tamta sprawa sprzed roku ciążyła na nim w sposób zgola fatalistyczny. Nie pomagała fachowość i długi staż.

Odkał naraził się naczelnemu i paru innym — z dziwną regularnością odmawiano mu zatrudnienia nie tylko w dziennikarstwie, ale nawet w pokrewnych dziedzinach. No cóż, wilczy bilet. Jakieś przedawnione sprawy polityczne też wtedy zaczęły „grać”. To jasne. Gdy skończyła się troskliwa i — co zrozumiał znacznie później — bardzo kosztowna w skutkach opieka Naczelnego — Dariusz stał się już tylko samotnym człowiekiem. Nikogo nie reprezentował. Nikt go nie chronił.

I właśnie teraz, w pewien rozchlapany wieczór — Dariusz przyjechał. Nie specjalnie do Poremby, skądże. Jadąc do rodziny, ot tak, żeby zapelnic boleśnie wolny czas, wpadł i tu. Ostatecznie nie tylko Porembę znał od lat. Andrzej i Janinę również. A także malego ruchliwego Władka, wiesznie zaferowanego przydziałem papieru, drukarnią i Bóg wie jakimi jeszcze, zawsze najpilniejszymi, sprawami.

Skacząc przez kałuże błotnistej ulicy Jodłowej, zaszedł do Adama. Rozmawiali przy domowym winie. Właściwie o niczym. Atmosfera była ciężka. Dariusz przemocował i odjechał. Tamto zaczęło się po kilku dniach.

Narada zapowiadała się nudnie. Naczelny wrócił zderwowany. Wiadomo, całonocna podróż. I pewnie nie wszystko udało im się w Warszawie. Numer też, jak na złość, nie wychodził. Na gwałt próbowali upłynnić rewanenty. Naczelny charakterystycznym ruchem wodził wskazującymi palcami od nosa do podbródka, jakby robił masaż. Powiedział: — No tak, musi tak zostać. Ale tu właściwie nie ma koncepcji. Każdy dział planowany jakoś osobno. Zresztą jutro wrócimy jeszcze do tych spraw...

Wtedy odezwał się delegat w Warszawie. Zwił w rulonik kartkę z notesu. Właściwie nie patrząc na Porembę powiedział tak, jakby to był ten sam temat: — Może jeszcze wyjaśnić nam, Poremba, o czym wczoraj rozmawialiście z tym... no z tym Skalińskim. Chyba nie o pogodzie? Po co on do was przyjechał? I dlaczego nie zameldowaliście o tym waszemu... — wskazał głową na Naczelnego.

Zaskoczenie było zupełne. Ostatecznie nikt z nich nie brał na serio nakazu mówienia Naczelnemu o — choćby o takich sprawach, jak ta. Władek i Janina patrzyli oszołomieni na Porembę, na delegata, potem znów na Porembę. Ostatecznie oni także rozmawiali...

Ale w Adamie kiełkowało już bezimienne przerażenie. Upokarzający i lepki strach. Po prostu fizycznie czuł rozrastanie się czegoś — czego nie odważyły się nazwać. Bąknął „przyjaciel”, „sprawy prywatne”... Mówił prawdę. A jednocześnie czuł, że wygląda, jakby kłamał, kłamał niezręcznie i bojaźliwie. Delegat rozprostowywał powoli rulonik papieru. Dodał niedbale, tak jakby między tamtymi jego słowami a tym, co mówił teraz, nie było żadnej przerwy: — No, ostatecznie chodzi tylko o to, żebyście pamiętali na przyszłość. Wróg ciągle nam szkodzi. A milczenie jest... Przerwywając w połowie zdania spcjrzał na zegarek. — Może — zwrócił się do Naczelnego — wyznaczcie teraz godzinę jutrzejszej narady. Interesuje mnie wasz plan ramowy i...

Było już późno. Patrząc na wychodzących z pokoju Adam pomyślał: teraz. Koniecznie teraz. Inaczej... Siłą się na swobodę podszedł do delegata. Tamten stał z Naczelnym. Padli papierosy. Poremba powiedział, chciał, żeby to zabrzmiało twardo: — Muszę wam wyjaśnić. To musi być wyjaśnione! Kilka minut... Delegat odwrócił głowę. Ten ruch patrzenia na zegarek. — Słuchajcie, chyba rozumiecie, że musimy być czujni. Jeśli namyślicie się, wystarczy przyjąć i powiedzieć. My szanujemy — zawiesił efektownie głos — szanujemy wasze osobiste sprawy, ale nie żądajcie, żebym wierzył, że wy właśnie o tym... — Uznał, że to nie wymaga dopowiedzenia: — Na mnie już czas — Adam został sam w długim, chłodnym korytarzu. Od ścian ciągnęło wilgocią. Skurczył się wewnętrznie. Powoli, jakby musiał się decydować na każdy następny krok, wyszedł z redakcji.

Delegata nie było jednak na wtorkowej naradzie. Wezwano go do Warszawy. Na pozór nic się nie zmieniło. A jednak... Adam czuł, że go nie dostrzegają. Nie w taki sposób, rzecz jasna, żeby nie podawać mu ręki czy nie reagować na skrzyknięcie drzwi, gdy wchodził do pokoju. To było nie do pomyślenia. Byli zbyt kulturalni, humanitarni, licho wie zresztą, jak to można określić. Ale ta chłodna uprzejmość Naczelnego. Uprzejmie słuchali słów Poremby, kiedy analizował numer, przytakiwali. A jednocześnie czuło się mur. Adam wdrapywał się na ten mur niezdarne. Mówił dużo. Starał się, żeby to było ciekawe, nowe. Jakby chciał w ten sposób przypominać: — Patrzcie, jestem chętny, bystry. Umiem może więcej niż wy... — Wiedział, że to jest śmieszne. Przecież nie im zwrócono uwagę, że rozmawiali z Dariuszem. Z Dariuszem. A to było najważniejsze.

Okolo godziny drugiej po południu, kiedy każdy wrócił do siebie, Adam zaszedł do pokoju, w którym pracowała ta trójka. Andrzej, Janina i Władek, oczywiście, jeśli nie siedział w drukarni. Przysunął sobie krzesło do stołu Andrzeja. Zaczął od niechęcia: — Właściwie, to zupełnie nie rozumiem. Wyobraźcie sobie, że to była bardzo zwyczajna rozmowa. O Iwonie, no wiecie, im urodziła się córka... I tak w ogóle, gdzie zamierza szukać pracy... Bo ostatecznie teraz to pilna sprawa. Marysia — nie wiadomo dlaczego położył nacisk na obecność żony przy rozmowie — Marysia dała nam wino. Bądź co bądź nie widzieliśmy się już rok... Co mnie obchodzi, co on myśli o tym wszystkim! Powiedział — wyrzucili go... A ja zostanę. Dlatego tamten, u licha, przyczepił się do mnie? Przecież wy także... — Obserwował ich spod oka. Andrzej schował się prawie zupełnie za rękopisy. Przekładał teczki to na jedną, to na drugą stronę stołu. Władka nie było. Dzień, kiedy wychodził numer. Tylko Janina... Janina gwałtownie wstała z biurka. Widział jej plecy, kiedy stała przy oknie. Machinalnie uderzyła kilka razy palcami w szybę. Potem odwróciła się. Bardzo szybko. Właściwie nagle. — A może to dlatego, że się boisz? Ze ty się boisz! — Zabrzmiało to szorstko i nawet trochę pogardliwie. — My, chociaż rozmawialiśmy z Dariuszem... Nie, właściwie też nie ważnego. On już nie wierzy, żeby coś się mogło zmienić. Teraz, w pięćdziesiątym czwartym roku? Ale co to ich u diabła obchodzi? Gdyby ten z Warszawy mnie tak powiedział, to bym, to bym... Nie dokończyła. Adam patrzył na nią ze znużeniem. Cóż ona wie, ta smarkata? Co ona może wiedzieć? Ale jednocześnie czuł, że Janina ma rację. Musi być w nim coś takiego, jakiś strach. To właśnie prowokuje. To pozwala Naczelnemu i tamtym mówić tak, jakby on naprawdę musiał... Ale skąd oni wiedzą? Przecież nie zastanawiają się nad tym. Co ich mogą obchodzić powikłania psychiczne Adama Poremby? A więc to widać? ...Czuł, jak upokorzenie podchodzi mu falą do gardła, rośnie, dlawi. Przelknął głośno ślinę.

Następne dni były jeszcze gorsze. Adam obijał się po pokojach, przeszkadzał im w pracy. Byli wyraźnie zniecierpliwieni. Zresztą on sam wiedział, że to już zaczyna trącić obsesją. Zawsze uważał się za człowieka prostolinijnego, twardego. Skąd teraz ta defilada mechanicznie powtarzających się myśli, przypuszczeń, obaw. Co zamierzają zrobić tamci? Gdyby nie chcieli tego wykorzystać, nie mówiliby publicznie. Mogli jakoś inaczej zwrócić mu uwagę, podkreślić, że wiedzą. Ale przecież naprawdę ta rozmowa z Dariuszem była przypadkową wymianą grzeczności. Właściwie to nawet dziwne, że przez rok mogli tak daleko odejść od siebie, on i Dariusz. A może tamten też wyczuł, że Adam... boi się? — Przypomniał sobie słowa Janiny, ale za chwilę wróciło tamto. — Wyrzuć z pracy? Co wtedy? Tak jak Dariusz? A tu Marysia i dzieci... A może tylko nielaska?... Wtedy nie będzie mógł przeprowadzić swojej koncepcji regionalnej biblioteki, wydawnictwa... Ale to by nie było najgorsze. Chyba wreszcie zapomną.

Ostatnia myśl, która ustawicznie wracała w łańcuchu podejrzeń, była najcięższa. — A jeśli, tak jak Dariuszowi, przypomną mu tamte sprawy sprzed jedenastu lat? Walczył jak wszyscy, no, raczej jak większość. Ale przecież dawno przestał być naiwny. Przestał liczyć na obiektywne, a właściwie ludzkie traktowanie tych spraw. Jeśli tak jak Dariusz... On nawet o tym wspominał w rozmowie, pozornie niefrasobliwie, ogólnikowo... A więc wezwania... setki pytań. Może tylko to, ale przy tym... wilczy bilet. Nie ma już mowy o niczym. Nie, nie — to są głupstwa! Przecież nie zrobił nic, nic, co by... Ale czy to w ogóle ma znaczenie?... — W krótkim olśnieniu strachu i nadziei Adam usłyszał słowa delegata z Warszawy. Więc dobrze. Pójdzie jutro do Naczelnego. Po co się dreczyć? Ostatecznie tamten zna go od kilku lat. Uwierzy —

A jednak nie... Wychodząc z jego gabinetu Poremba nie mógł zrozumieć, jak to się właściwie stało. Przypominał sobie wszystkie szczegóły. Systematycznie, ko-

lejno, jakby miał zamiar zapisać w myśli nie tylko przebieg tej rozmowy, ale blask lampy na stole, szmer ognia w piecu, zieloną plamę wilgoci na ścianie. Właściwie mógł się tego spodziewać. Już wtedy delegat podsunął mu: „Wystarczy tylko przyjść i powiedzieć”. Miał na myśli — powiedzieć, że tak, że rozmawiali o tajnych aktach i tajemniczych machinacjach „góry”, że Dariusz namawiał go, że chcieli „wykruszać” ludzi, wyjaśniając, jak przedstawia się sytuacja... Adam rozumiał doskonale, że wszystko co on i inni wiedzieli na temat spraw starannie ukrywanych przez kierowników — było prawdą. Dariusz mógł od niego żądać odwagi mówienia o tym, nawet odejścia — na pewno. Ale nie żądał. Nie żądał. Nie ufał mu? Czy myślał o Marysi i dzieciach? A może tak, jak powiedziała Janina, czuł, że Adam... boi się? To zabawne. Przez cały wieczór rozmawiali właściwie o rzeczach najbardziej obojętnych, nudnych i błahych. Adam odczuwał upokorzenie. A teraz właśnie on — poszedł do Naczelnego i powiedział — prawdę. Jeszcze raz powtórzył, że mówili o Iwonie, córce Dariusza, że Marysia podała wino... że była obecna przy rozmowie... — Tamten niewesoło uśmiechał się w blasku lampy. Nie wierzył. To było widoczne. Właściwie dlaczego miałby wierzyć? Skoro delegat także...

Po długiej chwili, kiedy Naczelny rozłożył ręce ruchem bezradnym i smutnym — Adam wiedział jedno. Ze musi się ratować. Za wszelką cenę. Tak to określał w myśli — za wszelką cenę. Nie zastanawiał się dotąd, jaka to mogłaby być cena. A teraz... Jakby błysk — Skąd tamten wiedział o wizycie Dariusza u niego? Przecież tylko oni czworu... — Czepiając się nowej myśli czuł, że tak nie jest. Mieli sto dróg. Sto możliwych źródeł informacji. Wiele osób mogło widzieć Dariusza. Ale tamto było łatwiejsze. Koło. Usprawiedliwiło kielkujący w nim zamiar. Trzymał się swego podejrzenia jak poręcz. Powiedział wyraźnie i twardo: — ...Wiedzie chyba, że nie tylko ja rozmawiałem ze Skalińskim. Otóż tamte osoby — zatrzymał się na chwilę, a potem jednym tchem wymienił nazwiska — ...tamtych osobom o bardziej ufał. — W tym „on” wyraźnie podkreślał swoją obcość i obojętność w stosunku do Dariusza — Wiem, że on rozmawiał z nim na temat... — Obserwował nieznacznie Naczelnego. Z namysłem, zatrzymując się co chwila, jakby dla podkreślenia wagi słów, mówił o sprawach, które podsuwała mu milcząca podejrzliwość tamtego...

Gdy wrócił do swojego pokoju w redakcji — był już zmrok. Zapalił światło. Otworzył kluczykiem biurko. Wyjął machinalnie jakiś list. Powinien jutro odpisać. Ciężko podszedł do okna. Stanął tak, jak wtedy stała Janina. Pomyślał — naprawdę nic się nie zmieniło. Nic. Kłamstwo? Tyle jest kłamstw, o których nikt nie wie. Oni nie rozmawiali o tym? No to co? Jakie to ma znaczenie? Nie im nie robią. Jeszcze ciągle dbają o swoich ludzi. Właściwie dlaczego mieliby ich tracić? Zanotują to w jakichś aktach personalnych i na tym koniec. A jeśli tamci zechcą się buntować? Będą mówić jak Dariusz? Wtedy broń jest gotowa. Dostarczona przez niego. No nie, to tylko nerwy. Przecież nie są tak głupi. Próbowal myśleć o czym innym. Popatrzył na mur sąsiedniej kamienicy. Latarnia kołysana wiatrem rzucała chwiejne zygaki na wygaszone okna. Nic się nie zmieniło. Jutro Andrzej i Janina przyjdą jak zwykle do pracy. Władek rano przybiegnie prosto z drukarni, brudny i pachnący farbą. Jeszcze raz bezmyślnie spojrzal na ulicę, na wypukłe kamienie bruku, na mur. Była sobota. Wieczór. Godzina dziewiąta. Sprawdził to skrupulatnie. Znowu całym ciałem poczuł, jak wraca... strach. I zrozumiał, że teraz nie ma już od niego ucieczki.

Opowiadanie to chcę poświęcić tym wszystkim, którzy są sprawiedliwi wobec siebie, gdy rozchodzą się ich drogi.

ANTONI MADEJ

## Koguty

Słychać: — pięć pierwsze koguty.  
Noc przez północ przeciągnięta mija.  
Świat, kokonem ciemności osnuty,  
nitki mroków zaczyna odwijać.

Pierwszą nitkę chwycił pierwszy kogut  
i wyciąga ją wysoko, wysoko.  
Jakby stanął na najwyższym stogu,  
by ją podać lecącym obłokom.

Po nim wtóre koguty zapiąły,  
kokon nocy rozsznuwając pilnie  
pianiem czujnym i wytrwałym.  
Świt nadchodzi nieomylnie.

Coraz szybciej nawija się ciemność  
na wrzeczono kołowrotu gwiazdznego.  
Noc się kończy. Nowy dzień przede mną.  
Nowy etap życia więziennego.

(„Liryki więzienne”)

Dziwnym trafem niewinne słowa „dla dorosłych” zrobiły aż dwukrotnie zgola sensacyjną karierę w dziejach naszej literatury ostatnich lat kilkudziesięciu. Pierwszy raz pojawiły się one na opasce okalającej boyowy przekład *Rozpraw o metodzie Kartezjusza*, zachęcając wezwaniem „Tyko dla dorosłych!” do jej przeczytania. Ale w kilkadziesiąt lat później Adam Ważyk użył tego określenia w sposób bardziej odpowiadający jego ostrzegawczej tonacji: nagłówek *Poemat dla dorosłych* bynajmniej nie kokieterystycznie — jak w przypadku *Boya* — wymagał od czytelników swojej dojrzałości i krzepkości umysłowej, nie nazbyt — bądźmy szczerzy — popularnej w kraju, gdzie do lektury klasyka racjonalizmu trzeba było zachęcać trickami na miarę amerykańskiej reklamy... Jeśli w dodatku przypomnimy sobie szczególne perypetie *Poematu* Ważyka wśród krytyków i czytelników, zrozumiemy dokładnie jedną w swoim rodzaju pikanterię powieściarstwa polskich losów tych — zdawałoby się — diametralnie różnych od siebie dzieł, które zrodziła pasja ludzkiego intelektu, sumienia i uczucia.

Myślę, że nie tylko ja, biorąc do ręki najnowszy tomik poetycki Adama Ważyka, przypomniałem sobie z ironicznym, ale nie pozbawionym gorzkiej uśmiechem przedziwne zebrańskie, dyskusyjne, i artykuły, odsądzające autora tych wierszy od obywatelskiej i narodowej czci, a jego najwęższe dorobek literacki od jakichkolwiek wartości ideowych i artystycznych. Właśnie bowiem teraz, po upływie kilkunastu miesięcy od chwili, kiedy *Poemat dla dorosłych* uczynił z sierpnio-wego, kanikularnego numeru „Nowej Kultury” rzadkość, swoisty klejnot bibliofilsko-antykwarystyczny — ocenić można spokojnie i uczciwie poetycką, a nie tylko publicystyczną i faktograficzną wartość największych wierszy Ważyka. Tę, jakimi dźwięczą w naszych uszach nabrzmiałe dramatyczną pasją strofy, bynajmniej nie osłabły, a przeciwnie: nabrały jakiegoś nieoczekiwanego kształtu i perspektywy głębi.

Jeśli przypomnimy sobie te nader istotne w dziejach literackiego romantyzmu lata, kiedy z wierszowanej powieści-eposu rodzi się zaczął nieznaną dotąd poemat — zrozumiemy, jak celnie i właściwie określił Ważyk swój najciekawszy jak dotąd utwór poetycki. Każdy poemat z prawdziwego zdarzenia, a raczej z artystycznej przygody jego twórcy, jest piorunującą czytelnika mieszaniną lirycznego wzruszenia i satyrycznej drwiny, humorystycznej groteski i spokrewnionej z tragizmem apostrofy, kunsztownie wypracowanych metafor i porównań oraz naiwnych stylizacji i sformułowań, będących od lat własnością poezji ludowej. Tak właśnie szokująco różnorodna jest materia poetycka, z jakiej zbudował Ważyk utwór, który odważyłbym się porównać (z uwagi na intencje — nie na konkretyzację artystyczną) z *Beniowskim* — tyle w nim kryjącego się nieraz za maską zgola blażeńskich mistyfikacji serdecznego przywiązania do własnego narodu. I może właśnie dlatego najistotniejszą rolę zarówno w *Poemacie dla dorosłych*, jak i w innych, ostatnich wierszach Ważyka odgrywają nie tyle fakty (a one przede wszystkim zafrapowały uwagę i wyobraźnię czy raczej brak wyobraźni krytyków), ile ich zestawienia, oparte na mistrzowskim nierazdo wykorzystaniu starych, psychologicznych prawkojarzenia i kontrastu. Ta miesza-

na stylów i tonacji poetyckich, jakiej Ważyk spróbował użyć na większą skalę pierwszy raz właśnie w *Poemacie*, ustaliła się u niego (ale nie skostniała) w niepozabawioną oryginalności metodę twórczą, która delikatnie zopolizowała i wysubtelniła wymowę nawet tak jednolitego — zdawałoby się — w swej tragicznej tonacji ostatniego wiersza z omawianego zbiorku: *Qui tacet clamant*. Owa metoda poetycka jest również zwornikiem kompozycyjnym omawianej książki.

Bodajże jedynym patronem literackim, którego Ważyk w swym zbiorku (w *Postaniu do przyjaciela*) wspomina jest Jakub Jasiński, skromny, ale czasem wręcz imponujący siłą swego patriotycznego wzruszenia poeta-żołnierz. Wydaje mi się, że tego imienia nie wesał Ważyk na daremno, i że jego obecna twórczość — tak bardzo odmienna od poprzedniej — jest szlachetną kontynuacją zagrzebanego dotąd w zakamarkach i schowkach historii literatury rodzaju poezji obywatelskiej, na której treść i formę wpływa w równym stopniu patriotyczne wzruszenie, co nader humanistyczna troska o społeczny los człowieka. Ważyk umiejętnie wysunął na czoło swej obecnej poezji zaniedbywane dotąd (przez niego zresztą również) principia moralne: walkę o czystość i dojrzałość kształtującego także literaturę i sztukę systemu etycznego wartościowania — rozdziału dobra od zła, prawdy od fałszu, szczerości i otwartości od zakłamania i obłudy. W tego typu odrabiającej brudne zaległości poprzednich lat poezji pierwiastki krytyczne biorą często górę nad elementarnymi opisywającymi i postulującymi — nic dziwnego zatem, że ów rozpisany na wiele stron rachunek polskiego i socjalistycznego sumienia nie jest lekturą łatwą ani przyjemną.

Jak dalej pobiegnie po tym gwałtownym zakręcie poetycka droga Ważyka i czy w jego twórczości utrzyma się owa wysoka obecnie nuta szczerego patriotyzmu i humanizmu — tego dzisiaj bezapelacyjnie i odpowiedzialnie zarazem zadecydować, sądzić, nie można. W każdym razie autor *Poematu dla dorosłych* udowodnił, że ma dość (nie tylko literackich) sił, by razem z Jastrunem i kilkoma innymi twórcami mowy związanej podźwignąć spadający szczególnie w pewnych epokach na poetów ciężar odpowiedzialności za losy własnego narodu. Ostatni poetycki zbiorek Ważyka stanowi bowiem (przynajmniej w moim odczuciu) istotną ekspiację za jego przeszłość — czy jednak do takiej ekspiacji dorosli już pewni krytycy i czytelnicy *Poematu dla dorosłych*?

## List z Poznania

Wśród pierwszych pozycji książkowych młodego Wydawnictwa Poznańskiego zobaczymy w ciągu kilku najbliższych tygodni również dwie powieści Knuta Hamsuna „Głód” i „Błogosławieństwo ziemi”. Będą to bodajże pierwsze w Europie po wojnie wznowienia pisarza, zaplątanego tragicznie w związki z hitlerowskim okupantem. Pierwsze, nie wyłączając Norwegii. Już dziś wznowień tych podobno zamierzają startującej placówce wydawniczej kombinacji warszawskiej, a uznane „Domu Książki”, nieskwapliwego w ustalaniu wysokich nakładów, wyraziło się wysokim zamówieniem 40 tys. egzemplarzy.

To samo wydawnictwo, ograniczone zresztą szczupłym planem wydawniczym, otrzymuje znaczne ilości ofert i manuskryptów z pocztowymi stemplami z różnych stron kraju, nie wyłączając częstych stempli stołecznych.

Wydawnictwo Poznańskie nie jest na pewno najbardziej znaczącym przejawem życia kulturalnego Wielkopolski — nie wiadomo zresztą jak sprosta zadaniom na najtrudniejszym odcinku: współczesnej literatury polskiej — stanowi jednak dogodną ilustrację dla zmian w układzie naszego życia kulturalnego. Uproszczone do granic prymitywów niedawny heliocentryczny układ stosunków, z jednym oslepiającym źródłem promieniowania w stolicy i pustym, bezgwiazdowym mrokiem poza jej rogatkami, przeżył wstrząs kosmiczny. Z chaosu wyłaniają się na kulturalnej mapie kraju zarysy nowych konstelacji.

WIELKA budowa rozłożyła się szeroko w części na piaskach, w części na zielonych łąkach. Z jednej strony granicę jej stanowił wysoki, sosnowy las, wyglądający z daleka jak żelazna ściana, szumiący mocniej lub słabiej w zależności od pogody, z drugiej strony rozciągała się płaska równina oddzielona tasiamiemka strumyka rzucąca na zieloną trawę. Z tej strony zależnie od pory roku wiały na teren budowy różne wiatry, raz mroźne, zmieniające każdą kroplę wody w srebrzyste perełki, to znów łagodne, wywołujące uśmiechy na twarze zziębniętych robotników. Cały plac zawalony był stosami cegły, kamienia, drzewa i betonowych bloków.

Chłopiec włączył się w potok ludzki, płynący od stacji kolejowej do wielkiej budowy. Serce biło mu radośnie i mocno. Jeszcze do wczoraj przewracał beużytecznie ziemię od wierzchu do podszewki, od podszewki na wierzch, zżerał kawał czarnego chleba, obcował tylko z koniem i polem... Rzucił to wszystko bez żalu... Świat przecież stał przed nim otworem. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie bary, jasna czupryna, jak strzecha przykrywająca owalną twarz i dwadzieścia kilka lat życia — to były jego główne atuty.

Formalności w biurze kadr trwały krótko.

— Nazwisko?  
— Stanisław Michura...  
— Skąd przybył? Zawód ojca? Do jakich organizacji należy? Czy posiada krewnych za granicą?

Chłopiec odpowiadał płynnie. Nie miał czego ukrywać, jego rodowód był czysty. Personalny, zadowolony z odpowiedzi, zadął wysoko głowę, aby spojrzeć mu w oczy, i widocznie w głowie jego zrodziła się jakaś myśl.

— Idź teraz do hotelu robotniczego — tu wymienił numer baraku i izby — a jutro rano zgłoś się do mnie. Wyznaczymy ci pracę, gdzie będziesz czuł się najlepiej.

W życiu rodzinnym, we własnym mieszkaniu każdy człowiek jest inny, ma swoje ulubione przedmioty od tyłki począwszy, ma pewne widoczne na pierwszy rzut oka — cechy charakterystyczne, jemu tylko właściwe. Ludzie stłoczeni we wspólnym mieszkaniu, umieszczeni na piętrach przycech, żywni ze wspólnego kotła, ubrani w jednakowe niebieskie kombinizony uwalane gliną i wapnem, wyglądają jednakowo. Gdy Staszek wszedł do wyznaczono mu pokoju, zatrzymał się przy samym progu, urzeczony niezwykłym dla niego widokiem ludzkiego bytowania. W mieszkaniu stały rzędem piętrowe przyce zbite z desek, odsunięte od siebie na taką odległość, by mógł między nimi stanąć jeden taboret — jeden rząd stał naprzeciw drugiego, jak żołnierze postawieni twarzami do siebie w czasie porannego przeglądu; prze-

strzeń między tymi rzędami wypełniał duży żelazny piec, prostokątny stół, przy którym mogłoby zasiąść pół wioski, i kilkanaście taboretów. Resztę umeblowania stanowiły dwudrzwiowe szafki, umywalki i inne drobiazgi. Za stołem siedziało kilku mężczyzn. Różnili się tylko wzrostem, pochyleciem ramion i wykonywanymi czynnościami, lecz poza tym byli jednakowi. Te same ubrania, na pierwszy rzut oka te same ziemiste twarze i jednakowe oczy wpatrzone ciekawie w przybyłego. Wzajemna obserwacja trwała krótko. Staszek pełen nowych wrażeń nie odróżniał jeszcze żadnej twarzy, nie mógł nic powiedzieć

# Bud

ADOLF

o współmieszkańcach, a oni już go ocenili, już poznali na wylot. Któryś z chłopców mruknął:

— Ten wielkolud to nowy. Powitać go...

— Oooooo.....

Michura słyszał o różnych sposobach wzajemnego witania się. W jakiejś książce wyczytał, że narody cywilizowane witają się podawaniem sobie prawej ręki, co oznacza, że witający nie jest wrogiem i nie ukrywa broni, że są ludy witające się wzajemnym pocieraniem sobie nosa o nos, słyszał o różnych sposobach, lecz taki, jakim powitano go w pokoju, poznał po raz pierwszy. Jego współlokatorzy nie byli cywilizowani, nie żyli wśród podbiegunowych lodowców — to był zupełnie nowy klan wykształcony przez budowę, jej tylko przynależny. To: „Oooooo...”, krzyżane niskim gardłowym głosem, doskonale zestrojone z umeblowaniem pokoju i panującą w nim atmosferą, zabrzmiało tak sugestywnie, że Staszek sam nie wiedząc kiedy otwarł usta i krzyknął — nie, nie krzyknął, raczej zaśpiewał: — Oooooo... Myślał, że sprawi przyjemność tym jednakowym chłopcom, że przekona ich o swoich przyjacielskich zamiarach, gdy powita ich im tylko znanym sposobem. Niestety. Powitanie takie miało odwrotny skutek.

— Widzisz go, jaki waśniak... — zawołał jeden z „podobnych”.

— Musiał się już pętać po budowach — dodał drugi — trzeba go będzie do nas nastroić...

To było znów nowe, nieznanne i wiele obiecujące powiedzenie. Chłopak wiedział, że można „nastroić” pług wczesną wiosną, gdy skowronek zawołał w pole, wiedział jak „nastroić” wóz, kiedy zamiast zwykłego ładun-

Gwiazdą średniej wielkości, promieniającą na średnie tereny Pomorza i Ziemi Nadodrzańskich ma szansę zostać również i Poznań. Zdają się świadczyć o tym zmiany ostatnich miesięcy.

Już dziś można uważać stolicę Wielkopolski za drugi po Warszawie ośrodek wydawniczy kraju. Rozbudowany przemysł poligraficzny obsługuje wiele wydawnictw zamiejscowych, jak PIW czy PZWS. Obok Wydawnictwa Poznańskiego pracuje tu od pięciu lat z górą samodzielny w zakresie wydawniczym oddział PWN. Od kilku do kilkunastu pozycji rocznie wydają czynne w Poznaniu katolickie wydawnictwa „Albertinum” i „Pallotinum” — to ostatnie, w znacznym stopniu publikacje z dziedziny literatury pięknej, m. in. Wojciecha Bąka, J. Zawieyskiego, Wł. J. Grabskiego.

Dla kulturalnego ożywienia miasta i regionu znacznie większe znaczenie niż długofalowa praca wydawnictwa posiada prasa, w szczególności prasa periodyczna. Na tym polu kosmiczna katastrofa centralizmu wyraziła się niebywałym wzrostem inicjatywy.

W rządzie kilku pism, które powstały, bądź smażą się w redakcyjnych kuchniach, na czoło wysunął się „Tygodnik Zachodni” i „Wyboje”. „Tygodnik”, pismo o ambicjach publicystycznych, pragnie specjalizować się w gronie podobnych periodyków w atrakcyjnie przeniesionej informacji społeczno-kulturalnej z terenu świata zachodniego, a w szczególności Niemiec. „Wyboje”, tygodnik młodzieży akademickiej i młodej inteligencji wielkopolskiej, zdobyły poczyniły nie tylko na uczelniach, lecz również na terenie małych miast, leżących do dziś kulturalnym odlegiem. „Wyboje” znajdują również

życzliwy oddźwięk i zainteresowanie na terenie woj. bydgoskiego, a także w Szczecinie.

Po latach przerwy zaczął wychodzić w Poznaniu „Przewodnik Katolicki” raz na tydzień na razie, lecz w formie dziennika ukazuje się od niedawna „Gazeta Chłopska”, wojewódzki organ ZSL. Najbardziej ruchliwy z trzech dzienników miejscowych popołudniowy „Ekspres Poznański” walczy usilnie o podwojenie nakładu. Koniec lutego przyniosł oczekiwany od dawna pierwszy tom zamierzonej przed sześć laty „Kroniki Miasta Poznania”. Oficjalny organ miasta przynosić będzie w kwartalnych zeszytach typu „Twórczości” czy „Dialogu” studia z zakresu socjologii, ekonomii, spraw komunalnych i życia kulturalnego. W połowie marca startuje w mglistą i niepewną przyszłość kolportażowa tygodnik satyryczny „Kaktus”. Bardziej pewny powodzenia może być planowany tygodnik sportowy.

Pozycją, która w rejestrze poznańskich nowinek kulturalnych budzi największe zainteresowanie jest telewizja, sukces uporczywych starań miejscowych. Poznańska telewizja, oparta o sprzęt francuski, eksponowany na zeszłorocznych targach międzynarodowych, będzie wprawdzie najmniejszą z kilku zakładanych w kraju; zasięg jej wyniesie zaledwie 15—20 km, co wyraża się liczbą ok. 800 tys. ludności na terenie odbioru, niemniej jednak położenie na trasie Warszawa—Berlin, którą prędzej czy później pobiegnie międzynarodowe łącze telewizyjne, i coroczny „targowy” kontakt ze światowymi nowinkami techniki telewizyjnej, rokują jej dobre warunki rozwoju. Pionierska ekipa telestacji zapowiada pierwszy swój program w maju br.

## O czym pisała „Kamena” przed 20 laty

Marcowy nr „Kamena” z r. 1937 poświęcony był w całości Aleksandrowi Puszkinowi z okazji stułetniej rocznicy jego śmierci.

Zeszyt zawierał głos Mickiewicza o Puszkinie, artykuły: „Mozart i Salieri” prof. Wacława Lednickiego, „Puszkin i poezja rosyjska” Lwa Gomolickiego, „Przełomowa epoka w życiu Aleksandra Puszkina” i „J. Tuwim jako tłumacz Puszkina” Sergiusza Kulakowskiego, oraz przekłady wierszy poety pióra Antoniego Bogusławskiego, K. A. Jaworskiego, Seweryna Pollaka i Włodzimierza Słobodnika. W numerze wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego: Aleksander Puszkin (według portretu Tropinina).

ku siadali na gospodarze, aby udać się na targ, lecz jak on będzie „nastrajany”, — nie mógł absolutnie zrozumieć. Stał więc w progu z miną dziecka, które powtórzyło za rodzicami nieznaną sobie wyraz i widząc radość na ich twarzach, uśmiecha się również, wysoki, zgrabny, nieśmiały i niezdarły, młody dębcażak przesadzony z wilgotnego czarnoziemiu na piaszczystą glebę. Zza stołu wyszedł niski chłopczek ubrany jak wszyscy, podobny do innych. Staszki rzucała się w oczy tylko jego czapka, jeśli taką nazwą można określić to, co miało na głowie. Niedługo była to prawdopodobnie popularna mycka, teraz za-

chłopców z jajami. Inni do nas nie pasują.

Tym razem nikt nie wstrzymywał śmiechu. Śmiali się wszyscy — ten na łóżku aż podskakiwał z uciechy, gracie pokładali się na stole. Tylko piszący list po pierwszym uśmiechu wziął „nowego” w obronę.

— Przystańcie się śmiać, a ty Felek nie wygłupiaj się. „Nie pamięta wół jak cielciem był”.

Człowiek, znajdujący się w nowym a nieprzychylnym dla siebie środowisku, uważa za swego przyjaciela każdego, kto mu dokucza mniej od innych. Podobnie było ze Staszkiem. Ten nieznamy robotnik nawołujący do spokoju, broniący go, podczas gdy zgodnie z panującymi wszędzie zwyczajami powinien śmiać się również, zastąpił, według niego, na całkowite zaufanie. Jemu też patrzył w oczy pytając, które łóżko jest wolne i gdzie można postawić walizkę.

Łóżko stało w samym rogu na wprost okna. Było wąskie i krótkie, jednak nie gorsze od tego, na którym spał w domu. Staszek zaścielił go kocami, rozłożył w szafce przybory do mycia i gołeniasz, zamknął ją na kłódkę.

„Mieszkam na nowym miejscu” — pomyślał.

Teraz miał czas aby poświęcić się całkowicie obserwacji kolegów. Wiedział już, że za wszelką cenę powinien uniknąć Felka i trzymać się jak najdalej od niego. Był mały, szczupły i prawdopodobnie tak słaby, że mógłby go powalić uderzeniem jednego palca, lecz język miał... No, lepiej nie zaczynać. Z innych mieszkańców tej izby zwrócił uwagę na tego, który czerpał skarpety. Miał on szczupłą, niczym nie wyróżniającą się twarz i duże niespokojne oczy. Po nich można go było poznać w największym tłumie. Te oczy biegały nerwowo we wszystkich kierunkach i tylko od czasu do czasu łowiły wrażenia na twarzy rozmówcy. Mężczyzna ten pierwszy podszedł do Staszki i pierwszy się przedstawił.

— Masalski jestem... Dyżma Masalski. Wszyscy tutaj nazywają mnie Dyżmem. Możesz tak samo do mnie mówić...

Wzrok penetrujący dotychczas przestępnie od nóg Staszki aż do rogu dużego stołu zatrzymał się na chwilę na brodzie Staszki i natychmiast umknął w bok.

— ...Mogę ci dużo pomóc. Jeśli ci będzie coś trzeba, przychodź do mnie.

Gdy Dyżmo odszedł, Staszek długo nie mógł określić wrażenia, jakie po sobie pozostawił.

Przed wieczorem do Staszki podszedł Felek.

— Te... nowy, wierzysz w duchy?

Drgnął zaskoczony tym pytaniem. W domu od dziecka wyuczył się pacierza, matka zawsze pilnowała, aby odmawiał go rano i wieczór, a w nie-

(Dokończenie na str. 6)

## „CUDA” HARASYMOWICZA

JÓZEF WIESŁAW ZIĘBA

Tomik Harasymowicza ukazał się na półkach księgarskich w styczniu 1957 roku. Druk jego ukończono jeszcze w grudniu. Można więc uważać go albo za zamknięcie płodnego w rewelacje poetyckie roku ubiegłego, lub za otwarcie roku nowego. Czy rok bieżący będzie podobny do ubiegłego, zobaczymy. Wydaje się jednak, że tak dojrzałych i późnych debiutów jak Białoszewskiego czy Herberta już nie będzie, bo stosunki w literaturze zaczynają się normalizować. Przychodzi teraz kolej na debiuty typu Grochowiaka, młodzieńcze, więc bardzo nierówne, błyszczące w wielu miejscach różnokolorową grą światła, prorokujące, ale nie wyrokujące. Do tego typu debiutów zaliczyłbym i „Cuda” Jerzego Harasymowicza.

W tomiku tym obok utworów naprawdę świetnych, chciałoby się powiedzieć, cudownych, chociażby dla przykładu wymienimy pierwsze z brzegu: „Wiek niewinności”, „Sad, styczeń”, „Kulig”, „Dlaczego pada śnieg” i inne, jest sporo nieudanych, wprost szkiców np. prozy: „Wawel”, „Babcia” i wiersze: „Wzruszenie na wczasach”, „Złe wykonanie koncertu”. Obok nich odkrywamy jeszcze świetne wiersze, w których coś zgrzyta. Oczywiście musi to czytelnika solidnie denerwować. Weźmy dla przykładu wiersz „Gile”. Gdyby nie potknięcia, można by go zaliczyć do prawdziwych cudów. Po świetnych pierwszych wersach opartych o syntetyzującą obraz metaforę

„Na lasu szklanej pile  
płoną gile w zadymce,  
niby kolorowe kule  
na świętej choince.  
Wiatr porusza gałęzie jodeł,

daje nam autor rozwodniony, za długi opis, który z całą koncepcją wiersza się kłóci:

„co są jak odwrócone w dół  
niebieskie wachlarze”.

Na przykładzie tego wiersza można bardzo wyraźnie zobaczyć jeszcze jeden charakterystyczny dla poety szczegół. Chodzi mi mianowicie o puente. Harasymowicz na zakończeniach wierszy i prozy często się potyka. Ulubionym jego chwytym jest dopowiedzenie. Może to nieraz i wywierają na czytelnika zamierzony przez autora efekt, jak w wierszu „Biczowanie”, ale najczęściej, jak zwykle, łamię ogólnie wrażenie w percepcji. Tak jest i w wierszu „Gile”. Świetne zakończenie wiersza:

„Och, Ewie! Ewie bym te wszystkie  
[baśnie pokazał,  
ale Ewy nie ma”.

## List z Poznania

walorów turystycznych Poznania i Wielkopolski otrzymał Adam Dubowski.

Kilka miesięcy tendencji decentralizacyjnych w kulturze wywołało w Poznaniu dużo inicjatywy i utajonej dotychczas energii. Nowa atmosfera podziałała także na te dziedziny życia, które niedorozwoju lat ostatnich nie mogły tłumaczyć heliocentryzmem i bezgwiezdną próżnią prowincji. Nie należy sądzić jednak, że zmiana tendencji w zarządzaniu sprawami kultury uległa jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystkim bolączki. Olbrzymią część listu z Poznania wypełnił rejestr zjawisk dodatnich. Trzeba z kolei zasygnalizować zjawiska zapisane po drugiej stronie kulturalnego bilansu.

Należy do nich sprawa rozbudowania szeroko w Wielkopolsce ruchu zespołów świetlicowych, w szczególności teatralnych. Przeżywają one obecnie silny kryzys organizacyjny, a co za tym idzie i artystyczny, poszukując nowych form pracy i sposobów uzdrowienia naruszanej nagminnie w przeszłości zasady amatorstwa. Problemem wciąż otwartym jest aktywizacja kulturalna życia małych miast, szczególnie licznych w Wielkopolsce. Bolączką najbardziej chroniczną, omawianą w chwili obecnej szeroko z okazji budżetowych sesji rad narodowych, są budżety wydziałów kultury. Decentralizacja doprowadziła już do przekazania szeregu zadań w dziedzinie usprawnienia kultury radom niższych stopni. Realizacji tego słusznego postulatu nie towarzyszy jednak proporcjonalna de-

autor chce jeszcze wzmoocnić i dodaje:

„choć kiedyś była...”

Może autor kierował się w tym wypadku autoironią, ale czy tak, czy owak, lepiej byłoby, gdyby tego wersetu w wierszu nie było. Podobne zalamanie widzę również między innymi w utworach: „Najpierw gdy nie miałem”, „Przedwiośnie”, „Historia znajomego”.

Jeśli chodzi o spojrzenie całościowe, to tomik Harasymowicza przedstawia mi się najogólniej jako dwie grupy utworów. Jedną z nich nazwałbym grupą wierszy problemowych, druga — to żarty poetyckie, albo baśnie. Są to właśnie te prawdziwe cuda i cudenka Harasymowicza. Sam tytuł świadczy o tym, że autor o pierwszej grupie wierszy stara się zapomnieć.

Nie leżą one, widać to na prawie wszystkich tego typu przykładach, w kręgu poetyckiej wyobraźni Harasymowicza. Wypróbowane w bajkach środki artystyczne, w wierszach o problematyce (nazwijmy roboczo) „poważnej”, stanowczo zawodzą. Przykładem tego może być wiersz „Gdybym mógł w słońce jak w gong bić, biłbym na alarm”. Animizacja, tak ulubiona i często wykorzystywana przez autora, w tym wypadku traci nawet nieudolnością. Wystarczy tu chyba dwa przykłady:

„ryje litrowek szarpia obłoki”,  
„godność człowieka drągiem spycha,  
[niby topielca w spirytusie kadzi”.

Mimo to wiersz robi na czytelniku wrażenie. Jest to chyba niezbitym dowodem tego, że autor aktualną problematykę społeczną głęboko przeżywa, jednak nie potrafi jej odpowiednio wyrazić.

A teraz spójrzmy na harasymowiczowe cuda — cudenka.

Odkrycie wdzięku rozdręganą radością fantazji dziecka jest chyba jednym z tych elementów, które nas do tej grupy wierszy Harasymowicza najbardziej pociągają.

Autor odkrywa i wyraża to, co było dotychczas uważane za margines życia, a więc przelotne wrażenia spowodowane pięknem przyrody, „dziwactwa”, które się marzą i chcą dopełnić ubóstwo otaczającego świata. Poetycka wyobraźnia Harasymowicza zawsze je ukonkretnia, łącząc kolorowym obrazem.

Duże wyczuleniu na kolor jest cechą charakterystyczną tej wyobraźni. Oprócz tego w świecie stworzonym przez poetę pełno jest ptaków, zajączków, aniołków. Ten trochę śmieszny, trochę naiwnutki świat jak obrazek dziecięcy, dopełnia autor jeszcze jedną nutą. Jest nią na tę samą miarę skrojona miłość. Miłość ta nie ma nic ze zmysłowej gwałtowności. Przepelnia ją pozorna naiwność, spokój i radość.

Wszystko to sprawia, że czytając wiersze Harasymowicza czujemy się w odrębnym, nie spotykanym dotychczas świecie baśni. Stworzenie tego odrębnego świata uważam za prawdziwe osiągnięcie poety. Czy „światów” tych przybędzie w następnych tomikach jeszcze więcej, czy poeta rozbuduje ten, który nam pokazał, zobaczymy. Jedno jest teraz pewne, a mianowicie, że „Cuda” są prawdziwym debiutem Harasymowicza. Jak już powiedziałem, znajdziemy w tym tomiku wiele potknięć, ale i wiele świetnych wierszy, które sygnalizują, że zjawia się jeszcze jeden prawdziwy poeta.

centralizacja środków finansowych. Dysproporcja ta zagraża na terenie Poznania normalnej pracy szkół artystycznych i miejskiej biblioteki publicznej. Instytucje i placówki kulturalne powracają pod zarządek miasta jak syn marnotrawny, wyglądany z utęsknieniem, przybywający w ubóstwie. Problem wzmocnienia finansowego konstelacji rozbyskujących coraz jaśniej w niedawnym bezgwiezdnym mroku, problem przekazania takim ośrodkom nie tylko niesamowystarczalnych w zakresie finansowym szkół i bibliotek, lecz także placówek dochodowych, jak rozmaite zakłady komunalne, stanowi problem ważny nie tylko dla naszej gospodarki, ale i dla nowej organizacji naszego życia kulturalnego. Sprawy Poznania dostarczają w tej mierze wymownej i pouczającej ilustracji.

Leszek Prorok

# OWA

## LEKKI

losny strzępek szmaty, cudem zachowujący okrągłe kształty, o przetartych brzegach przeświecających kawałkami równie przetartej tektury. Całość osadzona była na czubku głowy tak delikatnie, iż wydawało się, że każdy gwałtowniejszy ruch spowodować musi katastrofę. Chłopak siedział prosto do Michury krokiem tanecznym, w miarę zbliżania się zadzierając coraz wyżej głowę. Gracze, którzy dotychczas niewiele uwagi poświęcili „nowemu”, przestali rozdawać karty, przy drugim końcu stołu dwóch robotników odłożyło pióra. Ważniejszym od listu stało się dla nich to, co nastąpi za chwilę. Nawet ten siedzący na swoim łóżku, całkowicie pochłonięty cerowaniem skarpety, zastąpił w pozycji oczekiwania z ręką odsuniętą od siebie z nitką w zębach. Chłopak przystanął o krok od Staszki.

— Te, wielki... nazwisko — zapisał ciekawo.

— Michura jestem... Stach Michura...

— Mie-kura, od razu tak pomyślałem...

— Wsio rawno i tak widać, że cię kura z gnoju wygrzebała...

Ktoś parsknął krótko i natychmiast zamilkł. Przedstawienie nie było jeszcze skończone. Mały dowcipniś czując poparcie za plecami, a bezkarność z przodu, zadawał dalsze pytania.

— Ze wsi przyjechałeś, prawda? Od razu to poznałem, bo cię gnojem czuję...

Staszek przestąpił z nogi na nogę i przełożył walizkę z ręki do ręki. Wiedział, że się z niego śmieją, lecz odpowiadał na wszystkie pytania.

— Ze wsi... z Krzykawy. Wczoraj z domu wyjechałem...

— A jarka z sobą przywiozłeś?

— Nie.

— To szkoda, bo my lubimy tylko

Największym ewenementem tegorocznego kalendarza kulturalnego jest w Poznaniu oczywiście III Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego. Ścisłe biorąc — nie tylko skrzypcowy. Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski z tą imprezą związany odbył się już w ub. roku, nie przyniósł zresztą większych rewelacji. Tegoroczny turniej skrzypcowy, który odbędzie się w grudniu, powinien zgromadzić wg obecnych przewidywań ok. 100 młodych wirtuozów smyczka z dwudziestu kilku krajów. Niemniejszym zainteresowaniem darzy muzyczna opinia świata międzynarodowy konkurs lutniczy. Impreza ta wyprzedzi grudniowe spotkanie skrzypków, zaś po rozstrzygnięciu tej części konkursu pozwoli na zorganizowanie dwumiesięcznej wystawy lutniczej w Poznaniu. Miarą zainteresowania konkursem może być fakt ufundowania specjalnych nagród dla imprezy poznańskiej przez związek lutników włoskich.

Estetyczne plakaty i wielojęzyczne prospekty konkursu poszły już w świat, zaś gospodarze borykają się z kłopotami organizacyjnymi, które już dziś dają się dotkliwie we znaki. Warunkiem normalnego przebiegu konkursu jest remont świetlicy pod względem akustycznym auli UAM, gdzie koncertuje filharmonia. W obliczu oszczędnościowego charakteru budżetu rad narodowych w dziedzinie kultury, kilkuset tysięcy na resztówka kosztorysu remontowego spędza sen z powiek członkom komitetu konkursowego.

Poznański świat muzyczny żyje ponadto oczekiwaniem jubileuszu 10-lecia zaślubionej filharmonii; uroczystości zostały powiązane bezpośrednio z konkursem skrzypcowym. Filharmonicy

przygotowują na konkurs 8 koncertów, w ostatniej fazie turnieju towarzyszyć będą zwycięzcom poprzednich eliminacji. W dniu otwarcia konkursu placówka otrzyma chlubny tytuł „Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego”.

Rejestr ciekawych zjawisk życia kulturalnego Poznania mógłby objąć szereg dalszych dziedzin; staje temu na zawadzie rozmiar korespondencji. Osobne omówienie należy się teatrom, które w sezonie bieżącym, pod nową dyrekcją R. Sykały, ocknęły się z kilkuletniego zastoju repertuarowego i w dziedzinie przygotowanych premier pokazały dwie inscenizacje, wykraczające swym walorem daleko poza granice Poznania. Myślę o powrocie ciekawej dramaturgii L. Pirandella na polski afisz; o jego głośnym „Henryku IV”, którego przypomniał Teatr Nowy. Drugi utwór to nieznaną zupełnie w Polsce, popularna swego czasu na scenach kilkunastu krajów świata „Angela” Leo Terrera, satyryczna rozprawa z niesprawiedliwościami dyktatury policyjnej, przygotowana z wielką pomysłowością scenograficzną i reżyserską na scenie Teatru Polskiego.

Krótką wzmianką chociażby pokwitować należy nagrody miasta Poznania za rok 1956, wręczone tradycyjnie w przeddzień rocznicy wyzwolenia miasta, tj. 22 lutego br. Nagrodę w dziedzinie literatury za działalność poetycką i przekładową w latach 1947—1956 otrzymała Kazimiera Hłakowiczówna, w dziedzinie nauki — prof. Stefan Wierczyński, slawista i bibliograf. Nagroda artystyczna przypadła — art. rzeźbiarzowi, prof. B. Wójtowiczowi, zaś nagroda młodych — tancerzowi baletu opery poznańskiej, Konradowi Drzewieckiemu. Specjalną nagrodę za popularyzację zabytków oraz

# Budowa

dziele regularnie chodził do kościoła. Czy wierzył w duchy? Chyba tak.

— Wierzę — odpowiedział — a bo co?

— To pożycz mi pięć dych, oddam ci po śmierci...

Mimo tak oryginalnej prośby Staszek zmuszony był odmówić. Wprawdzie wolałby nie mieć z Felkiem żadnych zadrażeń, pożyczony mu nawet na pośmiertny zwrot, lecz naprawdę nie miał pieniędzy. Po opłaceniu przejazdu kolejną pozostało mu w kieszeni kilkadziesiąt złotych, co z trudem zapewniło do pierwszej wypłaty pośpiechu dwa razy dziennie.

— Nie masz pieniędzy? — Felek pokiwał głową — dam ci dobrą radę. Idź się powieś, tu nawet jest przed domem ładne drzewko, a ja będę miał kawałek sznurka na szczęście. Ostatnio coś mi karta nie idzie. Idź, powieś się...

Pstryknął Staszkiowi palcami gdzieś w okolicy szyi, odwrócił się na pięcie. Michura nie chciał pozwolić, aby odszedł z żalem w sercu, pragnął mu wytłumaczyć, że naprawdę ma w kieszeniach pustki. Zatrzymał go za ramię. Felek zrozumiał jego ruch inaczej. Zrobił błyskawiczny unik, odskoczył kilka kroków. O dziwo, mimo tych gwałtownych ruchów czapka na jego głowie ani drgnęła, a według ludzkiego rozumienia powinna była już dawno leżeć na ziemi.

— No... no... Bozia ci dała łapy, abyś nimi cegły nosił, a nie mnie za ramię chwycił. Takich silnych już widziałem, ale takich głupich jeszcze nie. Adie, wyrównam nasz rachunek.

Dyzio, który był świadkiem całego zajścia, podszedł do Michury.

— Nie masz pieniędzy? Polubiłem cię i jeśli chcesz, to ci pożyczę. Ja jestem z natury bardzo koleżeński, a że nie przegrywam w karty i nie przyjmam jak ten dowcipniś, to i mam trochę grosza. Chcesz?

Staszek podziękował i aby uniknąć dalszej rozmowy, wyszedł na plac. W głowie tłukły mu się najprzeróżniejsze myśli.

„Felek... Dyzio... ten starszy przyjaciel, karciarze, pijacy... nerwowie, inni opanowani, dobrzy i źli... Jakże różni bywają ludzie i jak złudne są pierwsze wrażenia!”

Wrócił do baru późnym wieczorem, kiedy część robotników leżała już w łóżkach, a reszta myślała bądź rozbiierała. Celowo wybrał tę porę, wiadomo bowiem, że człowiek zajęty sobą nie ma czasu dla innych. Rozebrał się szybko, odrzucił koce i wskoczył do łóżka. Wtedy stało się coś dziwnego. Staszek poczuł, że zapada

się w przepaść, usłyszał głośny trzask i chórny śmiech.

— Długo... bez spadochronu lądujesz? — pytał Felek — Masz szmatę, utrzyj sobie nos...

Szmatą, służącą do wycierania podłogi, ciśniętą wprawną ręką wyładowała na głowie Staszka, potem posypały się na niego papierowe kule, ogryzki owoców i inne przedmioty. Zerwał się z ruiny łóżka rozżalony na wszystkich i zdziwiony tym, co się stało. Z trudem zorientował się, że łóżko zostało celowo rozkręcone i zawalilo się pod jego ciężarem. Przez następną godzinę przyprowadzał je do porządku. Noc minęła mu bez niespodzianek, za to raniłem przekołał się, że zginęła mu najlepsza koszula. Poszedł do personalnego z prośbą o przeniesienie do innego baraku. Gotów był raczej zrezygnować ze swych marzeń, niż mieszkać dłużej z Felkiem.

Personalny poznał go natychmiast, bo trudno zapomnieć najwyższego na budowie człowieka, mającego na twarzy niezatarte jeszcze piętno wiejskiego pochodzenia — bystrość pomieszaną z naiwnością, dobroduszość przepłatana chytryością.

— Jak ci się spało? — Staszek nie odpowiedział na pytanie. Stał z nisko spuszczonej głową, jak koń nad pustym żłobem u nowego gospodarza. Personalny obrzucił go bystrym spojrzeniem.

— Okradli cię? — Okradli. — Pobili? — Pobili. — No tak...

Powiedział „No tak”, kładąc główny nacisk na „tak”, a przeciągając w nieskończoność „No”. Przeszedł się kilka razy po pokoju z rękami założonymi w tył. Przystanął przed Staszkiem.

— Nie wrócisz już do nich. Myślałem o tobie i wiem, gdzie będziesz pracował...

Staszek przestąpił z nogi na nogę. Ten ruch charakteryzuje ludzi nieśmiały, niewiadomych własnej wartości, zdanych na łaskę drugich. Ten ruch wykonywał Staszek zawsze, ilekroć działo się wokół niego coś takiego, co miało wpłynąć na jego życie, a co było niezależne od jego woli.

— Pójdiesz do straży przemysłowej...

Tym razem głos personalnego zabrzmiał twardo, wcale nie tak, jak powinna brzmieć decyzja o przyjęciu do pracy, — raczej jak głos dowódcy wydającego rozkaz, który nie podlega dyskusji i musi być wykonany. A właśnie decyzja taka nie odpowiadała

Staszkiowi. Pragnął pracować przy murarzach, podawać im wapno i cegły, patrzeć jak rosną mury i uczyć się zawodu.

— A czy nie można by do murarzy? — zapytał.

— Nie! — uciał krótko personalny. — Tam znajdziemy ludzi, ilu chcemy. Ale tych ludzi trzeba pilnować, bo inaczej rozkradną połowę materiału, odwalą pracę byle jak. Do pilnowania wybieramy najlepszych, najbardziej uczciwych. Jest to wyróżnienie, a więc nie sprzeciwiaj się. Pójdiesz teraz do komendanta straży...

Znów przeszedł się po pokoju, zwracając ręce do tyłu, ruchem sobie tylko właściwym. Staszek zauważył, że ręce te nie spoczywały tak jak u innych ludzi, dłoń w dłoń, lecz koniuszki palców lewej ręki trzymały koniuszki palców ręki prawej, a obydwie duże palce wprawione w ruch wirowy kręciły się wokół siebie wolno, jednostajnie, jak rowerowe pedały, skutkiem czego odnosiło się wrażenie, że wykonują jakąś poważną czynność, bez której mózg personalnego nie mógłby funkcjonować należycie. W pewnej chwili pedały stanęły, personalny zatrzymał się w miejscu. Zamyślił się... podszedł do biurka i szukając papier do pisania mruczał do siebie:

— Ta... tak będzie najlepiej...

Napisał coś szybko, kartkę wsunął do opieczętowanej koperty i gotowy list wyciągnął w stronę chłopca.

— „Masz tutaj list polecający. Komendant będzie wiedział, co z tobą zrobić. Pamiętaj, że życie jest trudne.”

Michura wyszedł z pokoju. Stare przysłowie powiada, że „im dalej w las, tym więcej drzew”. W chwili, gdy Staszek odjeżdżał z wioski, widział swoją przyszłość jak na dłoni — będzie podawał cegły, wapno, uczył się zawodu, — teraz, choć drugi dzień znajdował się na terenie budowy, nie wiedział, jak potoczy się jego życie. Wiele różnych myśli przychodziło mu do głowy...

Komendant ochrony, wysoki — Staszkiowi prawie do czoła sięgający drab — zajęty był studiowaniem pisma. Nie podnosząc głowy, kątem oka rzucił na przybyłego spojrzenie, dostrzegł w jego rękach list i bez słowa wyciągnął po niego rękę. Otrzymał kopertę rozdzierał grubymi paluchami, jakby to nie był papier, lecz kawał skóry. Stanowczo nie podobał się chłopcu.

„Pan Bóg wie, jak się będzie z nim

pracowało” — pomyślał. Komendant skończył czytanie i kiwnął na Staszka.

— Podejść — Chłopak zbliżył się do biurka jak automata.

— Usiąść. — Usiadł.

— Czy wie, po co jest tutaj skierowany? Bronić budowy. Przed złodziejami, wrogami, sabotażystami, dywersantami...

Za każdym słowem zginał jeden paluch, cedził wyrazy nie dociekając, czy chłopak rozumie ich znaczenie, czy nie.

— „Jeśli ktoś kradnie — aresztować, jeśli ucieka — strzelać, rozumiano?”

— Gdzie ja bym miał sumienie strzelać do człowieka — sprzeciwiał się Michura — Mógłbym kogo zabić, a potem grzech na całe życie.

— Sumienie mu niepotrzebne — komendant nas'roszył brwi jak jastrząb swoje pióra. W dalszym ciągu zwracał się do chłopca bezosobowo, podkreślając tym różnicę między nim a tym oto człowiekiem, który za chwilę stanie się zwykłym szeregowcem. — Sumienie mu niepotrzebne — powtórzył jeszcze raz — a grzechu nie ma. Grzech dać okraść budowę. Ona najważniejsza i jej ma strzec jak oka w głowie. Ona ważniejsza od niego — wycelował paluch w Staszka — od sumienia i grzechu.

W chłopcu zbudził się jakiś duch przekory. Na chwilę doszedł do głosu nie chłopak szukający pracy, lecz bystry, trochę przekorny chłopiec, lubiący stać w opozycji.

— Sumienie każdemu potrzebne — powiedział — a jeśli ta budowa dla ludzi, to po co do nich strzelać?

Nastroszone brwi powędrowały w górę, odsłoniły oczy, utworzyły na czole szerokie bruzdy. Komendant stał się „Zdziwieniem”.

— Budowa dla ludzi — potwierdził — ale jak oni nie wierzą, że dla nich... to oni — ogarnął półokrągłym gestem dwa okna — to trzeba ich do tego zmusić. Kiedyś będą nam dziękować. A on... — paluch znów skierował w pierś Staszka — za dużo myśli i mówi. Jak on nie chce iść z nami, to fora ze dwóra...

Przekorny chłopiec cofnął się gdzieś w głąb, schował wstydliwie. Przed komendantem stał wiejski chłopiec, poszukujący pracy, którego umysł był jak ta zielona równina.

— Czy mnie rozumiał?

— Po prawdzie, to...

— Nie szkodzi. Resztę nauczy się. Zameldować się w drugiej sekcji u plutonowego Mołody. Może odejść.

Adolf Lekki

## Debiut

JAN STEFANIAK

Czerwień

czerwony księżyc  
czerwony  
na czerwonym zrebie  
nieba  
czerwone usta  
czerwone  
na bladej twarzy  
dziewczyny

ktos pomalował świat  
w jaskrawy kolor

jest beznadziejność  
w tej barwie  
jest krew

pytasz mnie przechodniu  
o drogę pytasz  
w życie pogodne  
pełne dosytu  
o drogę do człowieka  
nie znam ludzi  
to fałszykiaty  
oni malują życie  
oni malują światy

czerwone usta  
czerwone  
blady dziwnie a twarz  
rumieńcem pala  
pożyczonym od księżycy

o patrz przechodniu  
patrz  
tam mignął cień człowieka!

## WŁOCHY

Chciałabym żegnać wiele i pamiętać kraj ni ładny, ni zwykły, lecz światła nocy, światła ostatnie każą mi widzieć tylko dal ciężką, w którą mam iść. Noc kotłowana w ciasnych ramionach pociągu żegna za mnie ziemię włoską, która o świecie jest już obca. Zaczynały się tu drzewa bujne i ciemnozielone, za którymi tęskniłam od roku. Alpy miały wyraz ostry. Aż nagle wyrosła brzoza.

I wtedy jakby coś stygnącego ożyło we mnie i poczułam ni żal, ni śmiech. Brzoza zaś była obojętna, a jej drobne liście jak blaszki szeleściły po swojemu. Tak więc na obcej ziemi znalazłam bliską część Polski.

## AUSTRIA

Granatowe czapki kolejarzy są znajome. Światła Innsbrucku nierównie odbijają się w zadeszczonych ulicach. Ludzie są przychylni i zmęczeni. Rano witają lasy i zabłąkany, śliczny wzrok nieruchomej sarny. Dunaj płynie majestatycznie, jakby wiedział, że jest rzeką o ważności międzynarodowej.

Ułm ma domy czerwone i jest tam trochę historii.

Pola przypominają mój kraj, a stacja Amstetten „Ludzi bezdomnych”, bowiem tu wysiadać miała jadąca na roboty stara Judymowa.

## NIEMCY

Dzieciaki o jasnych, prawie białych głowach, biegną obok pociągu. Chwytają łapczywie, co rzuci im niepomnia żadnych krzywd ręką polskiego żołnierza. Historia lubi paradoksy. Chłopak niemiecki o zaciekłym spojrzeniu, chwytający jabłko, na pewno myśli z uciechą — o polskich święciach. Dzieciaki za kawałek chleba nauczyły się nawet mówić „niech żyją” — i powtarzają te, dziwne martwe w ich ustach wyrazy, kłując z przymusem łapkami. Nie patrz już na nie.

## Podróż

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Prezes Koła Literatów Polskich  
w Buenos Aires

Dalej są lasy, piękne, wysokie i gęste, jak w Polsce.

Pośród nich czerwone miasta, trochę ruin, gdzie umarła wojna.

## FRANCJA

Jakby coraz bliżej była Polski lub nawet w niej — tak bardzo ten kraj jest biedny. Biedne są pola, domy i twarze widziane z okien wagonu. Robotnicy w niebieskich kurtkach i w beretach uśmiechają się cicho.

Nancy jest stare i ciemne. Król Staś Leszczyński może patrzył na owe mury. Nikła Francuzeczka na rowerze spojrziała na nas w pośpiechu. Ma za krótki płaszcz. Tu bieda ukrywa się, podczas gdy w Niemczech jest jaskrawo napastliwa i jak wszystko tam zawsze — bezcelna.

Domki przy torze przypominają mi stację pod Warszawą. Las może mniejszy. Jest mi ogromnie smutno, jakby plakały wszystkie pola i wszystkie obojętne kamienie przydrożne. A to tylko jest owa dal, która odpycha mnie od młodości i ziemi.

Na stacji Lomme napisy są chyba stuletnie. Za budynkiem stacyjnym stara kolasa wśród drzew czeka na szum krynoliny.

W sennych utrudzonych oczach Francja jest zgnieciona i bez życia.

W Calais morze jest ciemne, chłód dotyka rąk, odchodzi obraz Italii. Angielki mają twarze płaskie i nieładne. Patrz z wyniosłym uśmiechem, a wtedy odnosi się wrażenie, że ów uśmiech może towarzyszyć kalekom.

## LA MANCHE

Kiedy okręt jest już daleko od brzegu, tak że uolanie nie poruszy nikogo, kto tam został — fale są złośliwe i szybkie. Wiatr rzuca je na twarze ludziom — włóczgóm — więc mnie.

Woda jest stona i mdła.

Europa oddala się prawie ulegle. Może nawet z radością.

Wiem teraz, że zawadzamy wszystkim i wszystkim.

Mewy są duże, białe i serdeczne. Myślę o Conradzie, który kochał mewy. Te ptaki mają w sobie tęsknotę za brzegiem. Są srebrne i romantyczne. Nawet w rzucaniu im kawałków bułki jest cień romantyzmu z czasu, gdy się w łazienkach karmilo łabędzie.

Przed skałami nadbrzeżnymi Anglii odczuwam lęk i zimno.

Sierpień, 1946.

Przejrzałam stary zeszyt, w którym, będąc w Italii, notowałam widziane sprawy i rzeczy. Jakże ja dziwnie to wszystko notowałam lub widziałam! Zdania są pogmatwane, odczuwanie — a jednak w swym pogmatwaniu wyrażają tak wiele! Cóż z tego, że lat tyle przeszło przeze mnie i słowa wyprostowane słowa nie nic wyrażają, są puiste. Lat temu wiele — kłębilo się we mnie poszukiwanie świata, przepalała mnie nadzieja, że ten mój świat odnajdę, a dziś ten świat nie odnaleziony zwał się na mnie ciężarem, z którego nie podźwigniesz mnie nawet ty, mój najmilszy, nawet twoja miłość. Ale bo, mój drogi — co ty nazywasz miłością? Ten kwiat naturcyj w liście? Tę pustkę w tobie całym, gdy mnie tam nie ma? Uśmiechnij się: to wszystko złuda. To wszystko złuda ta sama, która trzyma w szponach nadziei i wiary świat, z którego nie podobna się wyrzucić.

Buenos Aires, 1955.

# Twórcy bez masek

FELIKS ARASZKIEWICZ

Pojawiające się w ostatnich latach pamiętniki należą na ogół do typu „normalnych” pamiętników starszego pokolenia, sięgającego spojrzeniem wstecz w swój kraj lat dziecięcych, w młodość durną i chmurną oraz w wiek męski, wiek kłeski.

Nazywam ten typ pamiętników „normalnymi”, ponieważ lata 1945—1955 przyniosły wspomnienia przede wszystkim z czasów pogardy, wypełnionych po brzegi zbrodniczą realizacją wszelkich odcieni faszyzmu i dyktatury. Wspomnienia wojenne pisali i piszą ludzie różnych pokoleń, często ludzie jeszcze młodzi, a często dotknięci losem swego czasu.

Fakt, iż w ostatnich latach zaczynają się pojawiać pamiętniki „normalne”, a tamte — wojenne — coraz rzadziej, wskazuje na pewną zmianę stosunków, które można by nazwać prawdziwym końcem wojny 1939—1944.

Wśród pamiętników typu zwykłego w ostatnim czasie zwracają uwagę wspomnienia sięgające początków XX w. i okresu międzywojennego, tematycznie związane z życiem środowisk twórczych. Są to „Wspomnienia sprzed pół wieku” Alfreda Wysockiego, „Maria i Magdalena” Magdaleny Samozwaniec, „Znajomi z tamtych czasów” Antoniego Waśkowskiego, wspomnienia Ludwika Soluskiego, pamiętniki Pii Górskiej i — „Spotkania z ludźmi” L. H. Morstina, zapowiedziane w „Wydawnictwie Literackim” na rok bieżący. W związku ze zmienioną aurą od dni październikowych, kiedy szczerze wypowiadzi i prawda faktów wracają do należnego szacunku i godności, nastąpi niewątpliwie odrodzenie wydawnicze pamiętnika z zapisków skrętnie dotychczas zamkniętych w biurkach.

Wśród pamiętników, będących pierwszymi jaskółkami nowej fali wspomnień ustępującego pokolenia, wyróżniają się oryginalnością ujęcia wspomnienia Jerzego Eugeniusza Płomińskiego pt. „Twórcy bez masek” (Pax, 1956). Mają one charakter ściśle literacki, a dotyczą zafabrykowanego i zdeprecjonowanego w ostatnim dziesięcioleciu obrazu literatury międzywojennej. Wydawnictwo słusznie poprzedziło książkę Płomińskiego syntetycznym szkicem krytycznym Artura Hutnikiewicza o działalności pisarskiej autora i rewizjonistycznej jego postawie, jako krytyka nie należące do żadnej ówczesnej kapliczki. Za tę niezależność autor ponosił konsekwencje życiowe zarówno od bonzów ówczesnych koterii, jak też od władców administrujących literaturą po wojnie (Płomiński czekał 7 lat na możliwość wydania swych wspomnień).

Słusznie pisze Hutnikiewicz o wspomnieniach Płomińskiego, iż „urodzony rewizjonista i w tym wypadku pozostaje sobą, rozbija mity i fałszywe, nicuje i podważa legendy, demontuje kłamstwa i plotki. Robi to tym skuteczniej, że wytrwały krytyk okazuje się w tych wspomnieniach wcale utalentowanym beletrystą, narratorem, ma niewątpliwie charakterologiczną intuicję, język i styl ujmujący, pełen bogatych rezerw frazeologicznych i leksykalnych, które zapewniają jego książce wartość nie

tylko dokumentalną, ale i często literacką”.

Portrety literackie Płomińskiego powstały jako owoc wieloletnich obserwacji nad szeregiem twórców minionego okresu w kontakcie osobistym, zwyczaj przyjacielskim, w różnych okolicznościach ich życia i twórczości. Nie są to wspomnienia dziś wywoływane, ale obrazy osób wykończony obecnie na podstawie zbieranych i zapisywanych w swoim czasie spostrzeżeń, a przede wszystkim — samych faktów, scen i zdarzeń. O tej metodzie komponowania portretów Franciszka Płomińskiego, Karola Irzykowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Stefana Grabińskiego, Tadeusza Dąbrowskiego, Julii Dickstein-Wieleżyńskiej i innych, nie zamieszczonych w książce (Zegadłowicz, Boy-Zeleński) świadczą same portrety; potwierdził to również autor przed kilku laty, gdy czytał w Lublinie na zebraniu T-wa Literackiego im. Mickiewicza fragmenty swej książki, będącej jeszcze wtedy w rękopisie.

W wyborze osób portretowanych Płomiński kieruje się trzema wytycznymi: znajomością osobistą człowieka-twórcy na szerokim tle czasów i miejsca, nowatorstwem twórcy, jego oryginalnością w środowiskach kulturalno-literackich (stąd niekiedy pojawia się portret talentu niezrealizowanego, np. Tadeusza Dąbrowskiego), stosunkiem twórców do problematyki życia społecznego. Dzięki metodzie stopniowego tworzenia mającego powstać portretu uzyskuje Płomiński przy postawie racjonalistycznej i wnikliwości analitycznej efekt plastycznego prawdopodobieństwa psychologicznego, żywy, drgający sprzecznościami obraz osoby twórcy.

Dwaj czołowi antagoniści tych czasów w walce o charakter sztuki i o teorie estetyczne, Karol Irzykowski i Stanisław Ignacy Witkiewicz, ukazani są najbardziej wyraziście z całej galerii portretów, zamieszczonych w książce.

Ponieważ Irzykowski prowadził zaciętą walkę z Boyem, czego jaskrawym przykładem było osobne jego studium pamfletowe pt. „Beniaminek”, ogromna szkoda, że Płomiński nie miał możności zamieszczenia portretu Boya w swoich „Wspomnieniach”; mielibyśmy pełniejszą panoramę, obrazującą stosunki między czołowymi krytykami okresu międzywojennego.

Zachodzi pytanie, jak należy rozumieć tytuł książki: „Twórcy bez masek”. Czy chodzi tu o demaskowanie przez krytyka postaci stojących się w fałszywe pióra, czy też o to, że wybrane przez autora osoby należały wśród pisarzy swego czasu do nie postępujących się maską. Ze sposobu komponowania portretów trzeba raczej wnioskować, że Płomiński, zgodnie ze swą naturą krytyka rewizjonisty, podjął zadanie odarcia tych pisarzy ze wszystkich nalotów legendy, którą albo sami wokół siebie tworzyli (Witkiewicz), albo z legendy, którą omotywali ich inni (izolacyjna legenda, deprecjonująca postawę krytyczną Irzykowskiego). Dzięki tej metodzie Płomiński doprowadził do ustawienia we właściwych proporcjach i wymia-

# LUBELSCY JUBILACI

Państwowy Teatr im. J. Osterwy obchodził jubileusz 25-lecia pracy Eleonory Frenkiel-Ossowskiej na lubelskiej scenie. Uroczystość jubileuszowa odbyła się podczas prapremiery sztuki André Obeya „Dziewczyna za wiatr”, w której artystka gra Klytemnestrę. W uznaniu osiągnięć scenicznych i zasług społecznych Jubilatki Przewodniczący PWRN Paweł Dąbek udekorował ją w imieniu Rady Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Spośród licznych ról wykonanych przez E. Frenkiel-Ossowską po wojnie na specjalne wyróżnienie zasługują role: Pani Soerensen w „Niemcach”, Matki w „Sprawie Pawła Eszteraga”, George Sand w „Lecie w Nohant”, Reginy Giddens w „Lisim gnieździe”, Wdowy w „Balladynie”, wdowy Purisot w „Ziemnieludzkiej” de Cuvrea.



W lutym br. świat muzyczny Lublina obchodził niecodzienny w naszym mieście jubileusz 25-lecia pracy kompozytorskiej i pedagogicznej prof. Aleksandra Bryka.

Skromna jubileuszowa uroczystość w miejscowym Klubie Pracowników Kultury, podczas której przedstawiciel PWRN wręczył kompozytorowi nagrodę Prezydium WRN, była swoistym przeglądem dorobku Jubilata.

Po krótkim zagajeniu wykonane zostały dwie pieśni kompozytora do słów Jana Kochanowskiego, dwie pieśni ludowe z Lubelszczyzny oraz „Kołysanka kurdyjska” i dwie ludowe pieśni perskie. Na zakończenie odtworzono z taśmy magnetofonowej fragmenty baletu Aleksandra Bryka „Opowieść o lampie Alladyna”.



rach rolę kulturalną obydwu krytyków w walce o treść i formę dzieła literackiego lat 1918—1939.

Bardzo ważny i cenny jest w tej galerii portret jedynej w swoim rodzaju na naszym gruncie poety czystej fantazji, Stefana Grabińskiego, którego autor słusznie nazwał suwerenem polskiej fantazji literackiej.

Niektóre portrety, jak np. Julii Dickstein-Wieleżyńskiej, zaliczyć trzeba do rzędu nie tyle reprezentatywnych dla opisywanego okresu, ile do prywatnych wspomnień autora na tle jego samotnictwa literackiego w owych czasach. Szkoda, że wydawca nie zamieścił wspomnień o Zegadłowiczu, który ukazałby się naszym oczom w całej prawdzie swego skomplikowanego „ja”, od świątkarza beskidzkiego poprzez redakcję „Tęczy” poznańskiej, aż do „Domku z kart”. Edward Kozikowski, beskidzki współtowarzysz Zegadłowicza, mógłby jeszcze swoimi wiadomościami uzupełnić port-

ret tego niepokojącego człowieka i straszliwie rozgadane go poety.

Dziwi nas w książce Płomińskiego, że autor, krytyk literacki z powołania i praktyki, prawie wcale nie zajmuje się utworami omawianych pisarzy. Gdyby w celu pogłębienia perspektywy psychologicznej tych postaci sięgnął do malowania także za pomocą zawartości artystycznej lub naukowej ich dzieł, portrety te stałyby się nie tylko wspomnieniami autora o wybitnych ludziach, ale także studiami krytyczno-literackimi nad literaturą okresu, w którym sam autor magna pars fuit.

Pod względem edytorskim książka nie prezentuje się dobrze: papier marny, arkusze źle zszyte, rozlatują się w czytaniu, okładka niby ładna, ale bez związku z charakterem książki, jakieś kolumny rzucające dalekie cienie — jakby do książki o treści klasycznej. Lepiej już było dać okładkę prostą o spokojnym rozwiązaniu literowym.

# Uzupełniam, potakuję i przeczę

(Dokończenie ze str. 2)

nie niż podstawy wszystkich innych systemów nie wyłączając materializmu. Inna jeszcze wątpliwość nasuwa się w związku ze znaczeniem określenia „sprawdzalność obiektywna”. Jeśli w ujęciu autorki odnosi się ono do empirii, to zakres takiej sprawdzalności ogranicza się tylko do dziedzin nauk szczegółowych (i to nawet nie wszystkich — przykład matematyka), wszelkie natomiast religie, światopoglądy i systemy filozoficzne są w ogóle całkowicie niesprawdzalne. Jeśli natomiast sprawdzalność obiektywna obejmuje również rozumowanie wychodzące od niezaprzeczalnych, empirycznych faktów i wznoszące się według ścisłych (całkowicie sprawdzalnych) wymogów logiki w coraz bardziej skomplikowane, wyższe rejony rzeczywistości — to wtedy wszelki zakres twierdzeń światopoglądu chrześcijańskiego nie będzie mógł zasłużyć na miano niesprawdzalnego. Trzecie z kolei i ostatnie zastrzeżenie autorki wobec społecznej przydatności religii opierającej etykę na przesłankach niesprawdzalnych i nieuniwersalnych jest ściśle uzależnione od słuszności — czy, jak starano się wykazać, niestuszności — poprzednich uwag i wobec tego nie musi być odrębnie rozpatry-

wane. Osobiście jestem przekonana, że oprócz „merytorycznych” wartości religii w planie nadprzyrodzonym, utylitarnej, społecznej przydatności religii w dziedzinie etyki jest wprost nieopisana.

Szczegółowa argumentacja tego twierdzenia wybiega, niestety, poza ramy tego artykułu.

Wydaje się więc, że sprawa oceny wprowadzenia religii do szkoły jest jak najbardziej otwarta.

Może praktycznie warto ująć ten problem jako zagadnienie korzyści czy szkód płynących z wprowadzenia religii do szkoły, ujęte jednak z aspektów pozawyznaniowych: etycznych, wychowawczych, ogólnodukacyjnych. W aspekcie bowiem wyznaniowym sprawa ta albo nie podlega w ogóle dyskusji, albo opuszczając tereny praktyczne musi stać się dyskusją o religii i ateizmie w ogólności.

Innym bardziej jeszcze praktycznym problemem dyskusyjnym jest sprawa o d d z i e l n y c h s z k o ł l a i c k i c h. Do słusznych w moim osobistym przekonaniu poglądów autorki na szkodliwość społeczną tego rodzaju szkół dołączyć można jeszcze inne argumenty z bardzo różnych „poziomów” życia.

Prawdopodobnie bardzo żywym może być również wysunięty przez wspomniany już artykuł z „Życia Lite-

rackiego” i felieton J. Kuczyńskiego „Miłość wojująca” w 5 nr. „Po prostu” — problem zasadniczego naruszenia tolerancji przez uczenie religii dzieci w wieku, kiedy jeszcze niezdolne są zupełnie do krytycznego myślenia.

Problematyka nie jest oczywiście wyczerpana, gdyż tolerancja, wyklęta do niedawna zupełnie, a obecnie często znów nadużywana, to zagadnienie bogate w konkretną i nieraz bardzo bolesną treść wśród przerażająco niskiego stanu kultury i etyki w chwili obecnej.

Pragnę jednak — dość nieśmiało — wysunąć sugestie, aby jednak mniej zajmować się wielkimi „ubolewaniami”, a za punkt wyjścia nie brać raczej publikowanych przez prasę „prawdziwych” faktów nietolerancji, gdyż w świetle np. reportażu K. Kozłowskiego pt. „Na przyklądzie szkoły T.P.D. w Katowicach” — „Tygodnik Powszechny”, nr 7) wiarygodność ich jest dość problematyczna.

Najbardziej potrzebną chyba sprawą jest precyzować i rozszerzać samą ideę tolerancji i jej konsekwencje, w których świetle należy koniecznie prze-myśleć cały szereg istotnych praktycznych problemów.

Maria Jasińska

## Sprostowanie

W numerze 4 „Kamień” do artykułu Anny Jakubiszyn „Stabość czy siła” ukraśli się błąd korektorski. Wiersze 17 i 18 od dołu w szpalcie 1-ej winny brzmieć: „w sprawach powszednich i nie zasadniczych — stroju, gustów, obyczajów”.

Odpowiedzi Redacji zamieścimy w numerze następnym.

Z przyczyn niezależnych od Redacji niniejszy numer „Kamień” ukazuje się z pewnym opóźnieniem.

Numer następny (święteczny) ukaże się w podwójnej objętości 16-u stron.

ŚLAWOMIR SOBOCKI

## Bajki dla niegrzecznych dzieci

...z dawnych, dobrych czasów

TO było w roku 50 czy 51. Ludziom było bardzo ciężko. Niektórzy z nich wierzyli w wielkie autorytety i sądzili, że przez to będzie im łatwiej. Zna pewnego plastyka w wojewódzkim mieście należącego do tych ludzi. Może zresztą dopiero rozpacz doprowadziła ją do tej wiary. Nie wiem dokładnie, jak to było. Powodów do rozpacz miała sporo. Mężowi nie chcieli wystawiać prac na wystawach, pieniądze nie było, mieszkali z dwojgiem dzieci na kilku metrach kwadratowych pod walącym się sufitem. Napisała więc list do Autorytetu, który choć mieszkał za lasami, za równinami, na wzgórzu otoczonym murami i wieżyczkami, spoza których rzadko wyjeżdżał na świat nie-boży, troszczył się jednak o miliony i myślał za miliony. Opisała Mu swe troski, prosiła o pomoc i ufnie czekała. Wierzyła bowiem w autorytety i tajemnicę przesyłek pocztowych. Pewnego dnia przyszli do niej panowie, od których dowiedziała się, że s'anie przed sądem. Została oskarżona z odpowiedniego paragrafu, który mówi o wzywaniu interwencji obcego mocarstwa. Nie dowiadywałem się, co stało się z nią dalej. Tak mało było wtedy ludzi odważnych.

Później już, przypadkiem, doszło do mnie, że sąd się nie odbył, a rodzinie biednego plastyka poprawiono warunki mieszkaniowe, dzieci dostały stypendia i jeszcze jakąś specjalną pomoc.

Moral: czasem dobrze jest wierzyć w autorytety.

...z nowych, trudnych czasów

W PEWNYM mieście stołecznym była szkoła, która przygotowywała ludzi do służby zagranicznej. Co roku odbywał się do niej nabór i nabrani w ten sposób ludzie kończyli potem szkołę. Później, czasami, nieliczni pracowali w służbie zagranicznej. Większość gdzieś indziej. Czytali wtedy raz jeszcze informator o studiach — mówił o wielkich ich możliwościach — i wierzyli, że tylko pech odsunął ich od służby zagranicznej. Informator wydawał instytucję cieszącą się powszechnym autorytetem, jakże więc można było wierzyć inaczej? Niektórzy z tych ludzi dostali w roku ubiegłym nakazy pracy do specjalnego komitetu. Komitet troszczył się o ład w kraju. — Wprawdzie to nie służba zagraniczna, ale jednak z pewnością służba — pocieszała się absolwenci, którzy tam trafili. Niedawno dowiedzieli się, że komitet nie jest już potrzebny, a razem z nim i ich służba. Zrobiono im jednak korzystną propozycję. Mogą otrzymać na rękę czterdzieści tysięcy, pod tym jedynie warunkiem, że zajmą się prywatnym handlem lub rzemiosłem. Jakaś drobna sprzedaż masła czy kalafiorów. Może być zresztą i czego innego. Możliwość są różne i duże. Może tylko nie zupełnie tak wielkie, jak obiecywał informator. No i nie zupełnie zagraniczne.

Moral: czasami płaci się za wiarę w autorytety.

JERZY JAREMA

## Rock and roll

Szastaskoki, rozbastwione drygochody,  
Kłopotukot, rytmoblega, szal;  
Płasnica kielznowolnej tanomody,  
Tupotempo, trzęsodrygi ciała.

Tanoszasty stepoklekatane,  
Miotosusem rozbiegana stukopuka;  
W zawijasy kroki wyrzucane,  
Wrotopędna, zapocona płasoduka.

Rysunki w numerze: Tytus Dzieduszycki

WITOLD GAWDZIK

## Metamorfoza

Biurokratów spokojnie na szpileczkę wbijał.  
Szkodnika wprost nazywał: łotr, szuja i złodziej.  
Plotkarke, co sączyła jad w krew nam jak żmija,  
Topił bez miłosierdzia w literackiej wodzie.

Głędził tak mętnie — smętnie od dobrych lat paru  
Z kalamburycznego nie złażąc konika.  
Szczęście, że go czytelnik jak ognia unikał,  
Bo w drzemiacą królową zmieniliby się naród.

Aż raz — lew się w nim zbudził. Co za styl! Od razu  
I dowcip Krasickiego i pasja Juliusza!  
Urodzony satyryk. Ach, mieć tak pazur...  
Najbardziej obojętnych bawiłbym i wzruszał!

Tyle werwy, polotu, ironii złowieszczej,  
Jakaż jedność określić, wybornych słów magia!  
Lecz zgadłbyś, kto nudziarza zrobił nagle wieszczem?  
Krytyk. Bo go posądził... o niewinny plagiat.

JERZY KSIĘSKI

## Rudy lis

Przerwawszy czytanie gazety, Mikołaj zapytał:

— Nie wiem, czy słyszałeś historię o rudym lisie?

— Nie, nie słyszałem...

— Pewien lis wpadł w pułapkę i został schwytany przez myśliwych, a ponieważ był rudy, przebarwiono go na kolor srebrny. Zresztą chyba tylko dlatego, że wtedy na fermach srebrne lisy były najbardziej cenione. Wycierpiał biedny lis niemało, a wszystkiemu winna była sierść, która nie chciała przybrać czysto srebrnego koloru.

Po upływie roku lis zbiegł. Uciekał wiedziony węchem do swoich. W drodze tarzał się pomiędzy skałami, kapał w strumieniach, ale sierść nie mogła przybrać z powrotem czysto rudego odcienia.

W ojczystym lesie powitano go nieufnie.

— Nie jesteś już rudy, wracaj do złotych lisów — zawyrokowano.

— I to jest właśnie tragedia — mówił Mikołaj — jeśli najpierw cierpi się za to, że się jest rudym, a potem, no wiesz zresztą co potem! — powiedział gorzko Mikołaj i znów zabrał się do czytania.

## Przemiany

Za prezydialnego stołu majestatycznie podniósł się wytworny jegomość.

— Towarzysze zebrani! — przemówił — W ramach obniżki kosztów własnych, postanowiliśmy zlikwidować etat samodzielnego pracownika od spraw zaparzania herbaty ob. Mieszadelfko i tak opuścił się ostatni i Koordynacji Przedsiębiorstw Usystematyzowanych Pracowników Instytutu Kultury (w skrócie DUPIK — PUPIK) — czynnie tym podkreślamy swój udział w trosce o likwidację niepotrzebnych etatów.

Nasz były samodzielny pracownik od spraw zaparzania herbaty ob. Mieszadelfko i tak opuścił się ostatnio w pracy. Chociażby w czasie ostatniego kwartału ja sam, osobiście, dostałem dwa razy przestępną herbatę, a przedwczoraj na przykład była źle przececzona. Kolega personalnie skarżył się, że 24 listopada w płynie zwanym herbatą pływająca jesienna mucha — ciekawe, prawda? Wobec tego musimy dzisiaj przedyskutować tę ważną sprawę. Prelekcję pt. „Rola i znaczenie picia herbaty w czasie pracy umysłowej” wygłosi mgr Narcyz.

Po referacie wybuchła żarliwa dyskusja. Oto niektóre głosy:

Głos III.

—...Wobec czego należałoby się zastanowić, czy przejście na kolejne dyżury, zaopatrujące całe biuro w herbatę zadowolili nasze wymagania. Kolega Bączek mówi, że nie. A czy zastanowiliście się, kolego Bączek, nad tym, jakie zamieszanie mogłoby wprowadzić w naszą metodę indywidualnego zaparzania we własnych kubkach? A czy pomyśleliście także i o tym, że wobec posiadania prywatnego kubka każdy musiałby osobiście myć go i przechowywać we własnym zakresie? A sprawa cukru? Nie, kolego Bączek, nie będziecie trzymali cukru indywidualnie w szufladzie z aktami. Nie, nie.

KAROL DUSZA

## Fraszki

PRZAŚNICZKI

Na szpulkę swego ciała  
Niejedna męża namotała.

PARADOKS

Czasem diabeł woła  
Do łózka anioła...

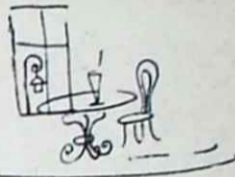


PERPETUUM MOBILE

Przy korycie  
Tętni życie.

NIJEDNA

Przez katakumby różnych kawiarni  
Niejedna zmierza pod kult latarni.

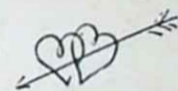


WZWYŻ

„Młodości podaj mi skrzydła!”  
Bez wazeliny i bez mydła.

NA KOMPLEMENCIARZY

Sercu nie trzeba tyrad  
Wystarczy mu duumwirat.



MÓJ NAGROBEK

Tu spoczął Dusza, gdy nań przyszła kryska.  
Zmówcie paciorek za spokój... nazwiska.

Głos IX.

— Zadnemu z dyskutantów nie przyszło dotąd do głowy, że herbatę można by przynosić z pobliskiego baru mlecznego. Oczywiście do tego celu oddelegowałoby się codziennie innego pracownika i według moich obliczeń każdy z nas miałby dyżur co 27 dni.

Głos X.

— O nie, nie! To niemożliwe! Przecież to strasznie drogo wyniesie. Czy wiecie, ile w barze kosztuje herbata? No właśnie, nie wiecie, a ja wiem! Poza tym bywa ona tam hurtownie słodzona, a nie każdy lubi z tą samą ilością cukru. Ja na przykład piję gorzką. A zresztą w barach mlecznych herbata bywa bardzo rzadko.

Długo jeszcze trwała dyskusja. Zastanawiano się między innymi nad tym, jaka herbata jest lepsza — cejlońska czy gruzińska, czy zaprawiać w porcelanie czy w czajniku z Cepelii, burzliwie ustalano godziny przeznaczone na picie. Ktoś wspominał i o samowarze, ale zakrzyczano go, że teraz mogłoby to być źle zrozumiane. W końcu ten sam wytworny przewodniczący zakończył naradę stwierdzeniem:

— Tak więc postanowiliśmy co następuje. Wobec likwidacji etatu samodzielnego pracownika od spraw zaparzania herbaty pozostają nam pewne fundusze, którymi możemy częściowo rozporządzać jako zapłatą za prace zleczone. Zleca się więc ob. Mieszadelfko w formie ponadplanowej obowiązków zaopatrywania wszystkich pracowników naszego urzędu w herbatę oraz cukier podawany osobno. Równocześnie postanowiono zmienić dotychczas używaną szklanki na półlitrowe kubki wyrobu emielowskiego. Każdy kubek powinien być w innym kolorze lub wzorku. Postanowienie to jest pionierskie i jeśli tylko zda egzamin w praktyce, wystąpimy z wnioskiem o rozpoznanie go wśród najszerszych biur pracujących.

Przy niemiłkających oklaskach uszczęśliwiony ob. Mieszadelfko długo dziękował zebranim za zaufanie, powtarzając ze łzami w oczach. — Postaram się, postaram.